
Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉

Tadeusz Nowak

Przebudzenia

Kraków 1962

Oto kompletny spis treści tego tomu:

- [Wychodzenie ze snu](#)
 - [Zima](#)
 - [Między zwierzętami](#)
 - [Ballada złodziejaska](#)
 - [Ballada pomyłonego](#)
 - [Ballada Chrystusika](#)
 - [Polowanie na anioła](#)
 - [Zabawy](#)
 - [Staw](#)
 - [Mojżesz](#)
 - [Przebudzenia](#)
 - [Dorastanie](#)
-

Wychodzenie ze snu

Początkowo przychodził do mnie jedynie staruszek. Zbliżał się do łóżka powolutku na rękach, pomiędzy którymi błyszcząca wypolerowana jak dzban głowa. Widocznie jeszcze się nie odzwyczaił od podkręcania wąsów, a nie mogąc tego z natury rzeczy czynić, poruszał nimi w górę i w dół, udając z dużym powodzeniem wiślanego suma. Później przychodzili inni. Zostawiali pod moją poduszką to jabłko, to piernik, to wyciętą z dzikiego bzu pukawkę. Budziłem się wcześniej. Zaglądałem pod poduszkę. Ale nie było ani jabłka, ani piernika, ani pukawki. Spoglądałem podejrzliwie na młodszego brata. Czyżby wiedział o odwiedzających mnie nocą i ściągał spod poduszki przeznaczone dla mnie podarunki? Wszystko wyjaśniło się dopiero wtedy, kiedy pijanemu ojcu śniła się malowana skrzynia pełna dukatów. Zerwał się ze snu z radosnym okrzykiem, wszystkich pobudził i kazał szukać ze świecą owej skrzyni po kątach. Skrzyni oczywiście nie znaleziono. Ale z domu zrobiło się

piekło. Ojciec wrzeszczał na matkę, że skrzynię potajemnie wyniosła do swoich rodziców, a on do końca życia pozostanie dziadem. Matka daremnie tłumaczyła ojcu, że jest pijany, a skrzynia była jedynie sennym widziadłem. Od tej pory codziennie przed zaśnięciem mówiłem o jedną zdrowaśkę więcej, żeby mi się tylko nie przyśniła skrzynia. Od tego też czasu wiedziałem, że mój dziadek nie jest z naszej wsi, że pochodzi z drugiej wsi zwanej Snem. A chodzi na głowie jedynie dlatego, że cała wieś nie wie, jak ma chodzić. Jednak nadal nie wszystko było dla mnie jasne. Bo jeśli dziadek jest z drugiej wsi, a wszyscy z tej wsi nie wiedzą, jak mają chodzić, to czemu przychodzą do mnie i zostawiają mi podarki? Wiedziałem wprawdzie, że mają bardzo głupiego sołtysa, który znany był z tego, że wydał zarządzenie, aby konie zamiast siewką karmiono wyłącznie owsem. Czyżby mnie chcieli ugłaskać podarkami i wybrać sołtysem? Nie słyszałem wszelako, żeby dzieci zostawały sołtysami. I byłbym jeszcze długo się turbował, gdyby nie kilka wesel hucznie tańczonych z okazji połączenia się kilku naszych dziewczuch z parobkami tamtej wsi. Od tej pory pomiędzy obydwoma wsiami nastąpiła zgoda. Wsi zwanej Snem dano od nas sołtysa, a mieszkańcy wsi Sen z wdzięczności zaczęli chodzić normalnie, jak wszyscy ludzie. Mogłem to sprawdzić na sobie. Mój dziadek od tej pory zjawiał się u mnie na nogach. Przestał poruszać rybio wąsami, inni też przestali przynosić podarunki. Rozprawiali natomiast przez całą noc o Witosie i o Kasie Stefczyka. Zaczęli mi się nudzić. Zjawiali się coraz rzadziej. Aż pewnej nocy przyszedł tylko staruszek. I to niecały. Do kolan jedynie. Ale za to ubrany kolorowo w krakowską czapkę z pawimi piórami i w białą, wyszywaną w kwiatki ślazu, sukmanę. Tańczył nade mną, jak obłok uwiązany na sznurku, ale nie przytupywał. Nie miał butów. Na moje spojrzenia od kolan w dół odpowiadał podkręcaniem wąsa. To mi wtedy wystarczało. Buty przestały mnie interesować, zwłaszcza że sam ganiałem boso i stopy miałem tak stwardniałe, że w kościele oglądano się za mną, jak za stąpającym po stajni nowo narodzonym źrebiątkiem. Takie stopy miały jednak tę zaletę, że kiedy moja rówieśnica z naprzeciwka przewracała mnie na wznak i dobierała się do moich pazuch, wystarczyło mi użyć moich nóg, a odchodziła z płaczem, unosząc w dłoniach małe dynie pośladek. Tak więc nie doczekałem się butów u mojego dziadka. Nie pamiętam też, kiedy zmarł i wyszedł z mojego snu. Nie wiem również, czy wchodząc do raju oberkiem miał buty, czy też nadal tańczył na przyboś. Sam powolutku wychodziłem ze snu. Niespodziewanie spotkałem moich z dawien dawna znajomych. Dawali mi jabłko, wsuwali mi do kieszeni cukierka, a nawet jeden z nich wystrugał mi z dzikiego bzu pukawkę. Pomieszali się moi ludzie senni z ludźmi spotykanymi na drodze, w polu. Teraz sam obmyślałem przed zaśnięciem, z czym się zawię we śnie mojemu koledze. Chowałem dla niego pod poduszkę odpustowy gwizdek, w klatce z wiklinowych prętów trzymałem oswojoną kawkę. Gdyśmy się rankiem spotykali na pastwisku, nie śmiałem go jednak zapytać, czy byłem u niego nocą i co mu przyniosłem. A z moich dawnych snów wychodziło coraz więcej chłopców. Przychodzili do mnie obdarci, nie

umyci, z zadrapaniami na rękach i na twarzy od wiklinowych pastwisk. Byli do siebie podobni, z tym że tamci senni stali na uboczu, jakby zaciągnięci płowym dymem niebios. Ale nie sędzę, aby poza tym dymem byli lepiej ubrani i mniej podrapani. Jedni i drudzy pomieszali się ze sobą. Przychodzili grać w palanta, w kliszkę, huścić się na związanych gałęziach dwóch pobliskich wierzb, wyplatać na wysokich topolach bocianie gniazda dla swoich rówieśnic i kąpać się, kąpać od świtu do nocy w szeroko rozlanym Dunajcu. Znałem ich imiona, wiedziałem, jaki jedzą chleb. Wiedziałem też, jaki trzeba rzucić kamień w ich wiosenną wodę, aby zaczęli kipieć, zaciskać pięści i bić się do utraty tchu. Ale to była jeszcze wiedza półsenna, dopiero próbowana w ustronnych zagajnikach, dopasowywana do tych, którzy opuścili mój sen, aby mnie wrzaskliwie obskoczyć i wciągnąć w swój krąg. Dopiero znacznie później dobieraliśmy się do siebie powiedzonkami obmyślonymi przez kilka pokoleń dorosłych. Gnojówki, cebry pomyj, parszywe przydomki, zafajdane wyzwiska przechodziły z ojca na syna, z matki na córkę. I to były te opłotki, które oddziały moich ludzi sennych od ludzi rzeczywistych. Wprawdzie byli do siebie podobni, spoglądali na siebie z sąsiadujących ze sobą ogródków, ale wystarczyło, aby ludzie rzeczywiści rozchyłili usta, ludzie senni odchodzili w czekające na nich ciche, jak wiosenne wody, sady. Mnie podobali się jedni i drudzy. Ludziom sennym dodawałem wąsy, obrywałem guziki u kamizelki, przekręcałem kapelusz. Stali i przyjmowali wszystko z tym skrzywieniem, jakie mają psy pociągane za ogon i tarmoszone za uszy. Ale stali nie odpędzając się ode mnie rękami. Natomiast ludzie rzeczywiści byli zupełnie inni. To od nich trzeba było wszystko przyjmować ze spokojem i uśmiechem. Potem wskakiwało się im na kolana, a oni podrygując nogami, mruclili tę starą, pachnącą sianokosami piosenkę: hosiana, hosiana, pojedziemy do siana. Pozwalali też czasem wsadzać sobie słomkę do uszu i do nosa. Kręcili przy tym pociesznie głową, jakby ich po płaczu ugłaskiwano do snu i marszczyli nos. Ale zazwyczaj byli nieprzystępni i groźni, jak psy tańczące przed południem na budzie. Wtedy nie wolno nam było się nawet bawić w zochabę, to jest przelatywać pomiędzy ich z lekka rozchylonymi nogami. Jedna z nóg miała wyobrażać słomianą stodołę, druga ciasno koło stodoły postawiony dom. Zapach pomiędzy domem a stodołą był podobny do zapachu nogawek, zwłaszcza w czasie żniw i młocki. Przechylali nas wtedy na te tak słodkie kolana, i jak to powiadali, wybijali z nas czerwonego kogucika. Ale nawet to nie było najgorsze. Zwłaszcza że przyjemność umieli zręcznie mieszać z dokuczliwością. Z tych też powodów moi senni, nieruchomi ludzie ustąpili całkowicie miejsca ludziom rzeczywistym. Po prostu pewnej nocy wynieśli się ode mnie, zabierając ze sobą swoje złudne zabawki. Nie śmiałbym jednak zaprzeczyć, że nie tęskniłem do nich. Byli przecież dla mnie tak dobrzy, chociaż ich dobroć była jak las wyszywany na okiennych szybach przez mróz.



Zima

Zima do wsi nie przychodzi nigdy niespodzianie. Najpierw trzeba wyprowadzić spod jesiennych sadów patriarchalnych staruszków. Tacy staruszkowie, jakby uplecieni z kilkunastu kądzieli październowych konopi, siedzą w sadzie, grzeją się w słoneczku i jednym, ząbkiem gryzą tryskające winnym sokiem jabłka. Czasem spojrzą na obłok, który się osunął w fioletową śliwkę, poiskają gruzlastymi palcami psa, a zazwyczaj nachyleni w siebie, śpią daleko od nas. Jak się więc rzekło, aby zima mogła przyjść do wsi, trzeba najpierw spod sadów wyprowadzić patriarchalnych staruszków. Podchodzi się do takiego staruszka ostrożnie, niby to na pogawędkę, a z ręki do ręki przerzuca się gorący podpłomyk posypany grubą, pomieszaną z ziemią solą. I nie zdarza się, aby staruszek oparł się roślinnemu zapachowi kiszzonego na rozczywie podskrobkowym chleba. W ten sposób nadrzeczne wikliny mogą coraz szybciej zaplatać jesienne słoneczko, a czerwone jabłuszka urywać się i spadać w siwy fartuch pobliskiej olszyny. Staruszkowie natomiast już od dawna siedzą na szerokim piecu, pestki dyni albo słonecznika ostrożniutko gryzą i coraz wyżej pod brodę podciągają barani kożuch przesycony zapachem wiosennego stada. Stamtąd od czasu do czasu, na przemian ze świerszczem, przyśpiewki ćwierkają, albo śpią w błękitnym, jak dno rzeki, dzieciństwie.

Zima do wsi nie przychodzi nigdy niespodzianie. Zanim zjedzie z pagórków zimy siwy koń, koty, jak na wiosnę baze, przebierają się na zapiecku kocim w iskrzącą puszystość. A drobniutkie brzoźki dla siwego konia zimy dosypują do żłobów strumieni coraz więcej owsianych listków. Dopiero wtedy Dunajec przytupuje na błękitnych wirach. Jak o wysokie dzbany wypalone z gliny dzwoni kra o brzegi. I śnieg prószy z lasu jak z drewnianej mordy śpiącego turonia. A z uszu siwego konia zimy żującego w sadzie sędzielaku listki, sypią się sikorki, a malinowe gile wylatują ze zgrzebnych rękawów pokutujących ostów.

Wtedy moja babka wchodzi do chlewika skleconego z tarcic, skąd wynosi na rękach czarne, jakby piło dziegieć, koźlę, i czerwonym ręcznikiem dusi je powoli pod wieczorną gwiazdą. Koźlę beczy jak dziecko wrzucone do pokrzyw. Cichnie jednak szybko. A wtedy się wydaje, że ktoś pozalewał wszystkie huczące studnie woskiem. A koźlę odarte ze skóry wieszka się głową w dół na gwoździu wbitym do stragarza. Koźlę wysuwa poza wargi pełen czerni język, jakby chciało sięgnąć po skoszoną trawę. Ale babka już ostrzy na cembrowinie studni tasak, rozcina brzuch koźlęcia, wyjmuje skręcone niby tajemnicze pismo cyrylicy jelita i rzuca je do odczytania psu i kotu. A mięso pocięte na kawałki wsadza się do glinianego garnka, przesypuje solą i bobkowym liściem, po czym garnek zalepiony ośródką chleba wsuwa się do pieca. Po chwili w chlebowym piecu garnek przytupuje,

jakby koźlę biło o stwardniałą glinę mosiężnymi kopytkami.

A nad domem już iskrzą na ukos niebiosa jeżdżące na ożogach wiejskie czarownice. A przed nimi skacze beczące koźlątko, próbując ledwie wyżynającymi się różkami bóść dwurogi nów. Wtedy na przypiecku budzi się staruszek, wystawia głowę spod kożucha, nabija machorką fajkę wypaloną z sęka wiśni i pykając opowiada: □A na ziemi pan starosta w koźlich butach za kolana, w kapeluszu z sójczym piórkiem, chodzi z fuzją po książących polach. A pan książę kazał wleźć fernalom na przydrożne drzewa, pohukiwać kazał. A gdy chłopu mróz gębę zaszyje, pan starosta strzela, chłop do zasy leci, a karbowy z nożem czyha, brzuch mu rozcina, a pan książę buciki szewrowe zdejmuje, w chłopskim brzuchu nogi sobie grzeje, a ogrzawszy staroście miejsca ustępuje. Wtedy z lasu wychodzą turonie, kłapią paszczą drewnianą wyścieloną od wewnątrz czerwionutkim sukнем. A chłopci, aby rąk nie zbabrać, biorą księcia poprzez wiechcie siana, pod sad go prowadzą i na zbitym z czterech łupek krzyżaku powolutku kładą i drewnianą piłą ostrożnie piłują□.

Zima do wsi nie przychodzi nigdy niespodzianie. Przez wieś idzie z lasu wigilijne drzewko. Na próg domu wchodzi, jednym butem tupie, ze śniegu się otrząsa. A za drzewkiem przychodzą zwierzęta. Pod łapami basetle i dudy, i piszczałki niosą. A gdy wejdą do dom, popiskują na nich, a huczą weselnie. A za zwierzętami idą pastuszkowie. Podobni do zwierząt. Tyle że nad sobą wieczorną gwiazdę niosą. Kolędują za jaje, za kawałek sera. A w stajni zwierzęta mówią ludzkim głosem. Naszeptują sobie od ucha do ucha pełne żłoby owsa i błękitnej trawy wysokie drabiny.

A dziadek zlął już z pieca. Przy lufciku siedzi, łyżką w garnku skrobie, w fioletowym lesie słonka upatruje. A słonko idzie od zasy do zasy, spod śniegu chojary laską odgrzebuje, ptakom koński nawóz na drodze roztrząsa. I zaczyna pachnieć zewsząd amoniakiem i wapnem gaszonym. I słoneczko już niedługo wejdzie pod niziutki sad, w wiśni sobie siędzie, pod boki się wesprze i na dziadka w oknie sąsiedzku zamruga. A Tadek z fajki popiół w popielnik wystuka, weźmie laskę z kąta, na próg sobie wyjdzie, trzy razy przykucnie, kości rozprostuje i mysim truchcikiem pod wisienkę wejdzie. I będzie tu siedział pochylony w sobie i spał będzie, z dniem każdym bliżej mego dzieciństwa.

[Spis treści](#)



Między zwierzętami

Początkowo zwierzęta przychodziły do mnie. Przynosiły ze sobą, a raczej w sobie, pachnący czosnkiem i fosforem świat. Pełno w nim było ogromnych lasów podszytych buszującą ciemnością, gdzie jedynym światłem był płomyk

świętojańskiej paproci i małe wody scedzone w zagłębienia kopyt, racic, pazurów. Za tym paprociowym światłem, w odległości widocznej, jak patrzenie na słońce przez rozchylone palce, ich ojcowie i pradziadowie wozili na sobie całe stada sikorek, jemiołuszek i mysich królików. Jeszcze do dziś dnia uszy zwierząt pachną mi siarczanym odorem ptasiego łajna. Jakoż zawsze wyobrażałem sobie, że uszy zwierząt są stworzone li tylko po to, aby służyć ptakom za naturalne gniazda.

Za zwierzętami wychodziły z lasu na kocich łapach żelaziste skrzypy. A w wydeptane przez nie gliniane dróżki podbiały rozlewały swe włochate mleko. A za skrzypami wody, począwszy od rosy, a skończywszy na jeziorach, odwiedzały się potajemnie idąc sobie naprzeciw leszczynową krainą.

Zupełnie inaczej było z ptakami. Te należały wyłącznie do siebie. Chroniły się przede mną swoją ulotnością. Ale również one dopisywały zgubionym kolorowym piórkiem, iglastą ćwierkliwością, łaszący się do mnie roślinno-zwierzęcy świat.

A w tym świecie, coraz większym z każdym dniem, jakby na podporządkowaniu przędzącym się z konopnej i z lnianej kądzieli, miałem swoich przyjaciół. Do nich to, jak do dziadków na śliwki, przychodziłem gościć się wspólną nam łagodnością. Zwierzęta, zwłaszcza psy i konie, przyjmowały mnie jak bliskiego, podobnego sobie w każdym zakamarku krewniaka, który powolutku zaczyna wyrastać na ich patriarchę. Wprawdzie nie zdejmowały przede mną myśliwskich kapeluszy i nie przebierały się na moje przyjście w świeżo zaprasowane lniane sukienki, ale lizały mnie po rękach, wycierały moją twarz szorstkimi jak skoszona łąka jęzorami. I tańczyły przede mną, zwłaszcza wtedy, gdy jadłem posypany solą chleb. Od nich dowiedziałem się, że mój ojciec i dziadek, zanim się stali dla nich patriarchami, przychodzili do akacyjowego drzewa uczyć się gry na skrzypcach. Od nich też wiem, że u psów uczyli się pańszczyźnianej pokory, a u koni ciężkiej, jak przerzucanie pagórów w doliny, pracy. W zamian zostawiali zwierzętom swoją niezaradność i swoje milczenie. Była to zamiana dobra, ale jednostronna. Niepotrzebnie wprowadzało się zwierzęta między ludzi, gdzie udzielało się im ludzkich tajemnic tylko po to, aby je można było bić po braterskim łbie.

Stąd nasz człowieczy świat wydawał się mi, jeśli nie osiągalny w pełni, to jednak możliwy do podejścia ze wszystkich horyzontalnych stron. Natomiast świat zwierzęcy czynił nieustanne uniki w zakamarki zupełnie mi nie znane i ledwie przeczuwane we śnie.

Jeśli psa nauczyłem podawania mi na powitanie łapy, nie byłem pewny, czy na drugi dzień nie przyjdzie do mnie żreback, abym uścisnął jego twarde jak dębowy pień kopyto. Jeśli kot zwijał się w kłębek na moim brzuchu, sądziłem, że to samo może uczynić białonogi cielak siorbiący z drewnianego skopka ścinające się w siarę mleko.

W tych czasach wielkość zwierząt zupełnie dla mnie nie istniała. Sądziłem, że wszystkie zwierzęta są podobne do mojego młodszego rodzeństwa. Jeśli więc pozwalałem swoim młodszym siostronom wchodzić mi

na kolana i targać mnie za uszy, sądziłem, że to samo mogą czynić ze mną zwierzęta. Dlatego nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie bito, gdy do izby chciałem wprowadzić krowę, a na strych po drabinie wepchnąć kozę. Jeśli kot miał prawo sypiać ze mną, czemu nie miałbym wciągnąć przez okno indyka i ogrzać go gorącą jak stóg siana pierzyną.

Ponieważ w żaden sposób nie mogłem dojść do porozumienia z rodzicami, wymyśliłem co innego. Po prostu z moim nie ustalonym jeszcze dla ludzi życiem przenieśliem się do stajni. Tu wchodziłem pod brzuch źrebięcia i zanim się w domu zorientowano, że mnie nie ma pod kożuchem na piecu, dzieliłem ze źrebięciem, a raczej wsuwałem się w jego, przerywany cichym rzeniem sen. Nie pamiętam też, abym, jeśli się ku temu nadarzyła okazja, nie podszedł do cielaka polechtać go pomiędzy wyżynającymi się różkami. Wtedy cielak z rozkoszy lizał szorstko aż do podskórnej czerwieni dębowy kołek, do którego był przywiązany. A ja w tym czasie kombinowałem, jakby tu zdjąć z nieba pełny miesiąc, aby go osadzić w tych gałęzistych rogach, jakie cielak będzie miał za parę lat. Nawet się nie spostrzegłem, jak między zwierzętami zaczął się ustalać mój przekorny charakter. Podejrzewam, że w ten sposób broniłem się przed ludzkim światem, który wpychano we mnie razem z jęczmiennym chlebem, ziemniakami i żurem.

Jedynie zwierzęta były dla mnie w tym czasie czymś w rodzaju małych, czystych wód chodzących na czterech łapach, w których przeglądałem się od wewnątrz i na zewnątrz. Sądzę, że było również odwrotnie. Zwierzęta przychodziły do mnie, aby się ogrzać przy moim drobnym światełku, wywęszyć poza moją puszystą, jak gryczane pole skórą, swoich najbliższych naszczekujących we mnie, potrząsających drabiniastym łbem i łaszących się do bliskiej im mojej zwierzęcej samotności. Jakoż wydawało mi się, że wystarczy sięść między dwiema zgrzebnymi spódnicami zboża, a z mojego na świat uchylenia zaczną wychodzić stada przepiórek, zajęcy i psich szczeniąt potopionych w dziegciu leśnej wody. Wtedy mój pies, z którym nigdy się nie rozstawałem, zachowywał się przy mnie tak, jakby obok niego tańczyło całe psie stado. Zupełnie się nie ukrywał przede mną, jakby przeczuwał we mnie bliską mu zwierzęcą czystość. I rzadko się zdarzało, abym w obecności moich rówieśników wychodził tak daleko z mego człowieczego wnętrza. Jeśli sobie przypominam, zawsze miałem przed nimi coś do ukrycia. Były to wprawdzie tajemnice drobne, ale dotyczyły pośrednio mojej zależności od dorosłych. Natomiast w obecności zwierząt spowiadałem się z najtajniejszych zakamarków mojego dzieciństwa.

[Spis treści](#)



Ballada złodziejaszka

Na błoniu wchodzącym pod wiosenne wierzby graliśmy w palanta. Między wierzby przeświecało niebo. Wysmagane marcową wikliną czerwienilo się kogucio. W tym niebie odezwała się pierwsza kukułka. Liczyłem. Zakukała cztery razy. Spojrzałem na pobliski dom. Na ganku stała matka. Dopiero wczoraj, zaczesując mi na bok włosy, mówiła, że będę miał siostrzyczkę. Nie mam się przecież z kim bawić, nie mam kogo nosić na rękach. Starsza siostrzyczka była brata. On ją nosił na rękach, pomagał jej raczkować pod sadem, uczył ją bawić się z psem. On też w nagrodę oblizywał jej twarz z resztek słodzonego grysiku.

Po kukułce w niebie odezwała się wilga. Przeleciała nad nami sypiąc siwe piórka. Spojrzałem na południe. Stał tam las czysty jak jabłecznik wlewany do butli. Nad tym lasem zielenił się obłok. Piąstką wskazałem go rówieśnikom. Przytaknęli w milczeniu. Pościągaliśmy z wierzbowych gałązek koszule i czapki i rozeszliśmy się do domów. Koło południa obłok przeszedł nad błonie pod wierzby. Spadł deszcz podobny do żółtych listków. Ale błonie było suche. Deszcz zatrzymał się w koronach osik, wsiąkł w obcięte, zalane smołą czarne łby wierzby. Z tych czarnych głów już na drugi dzień wyrosły niebieskie gałązki. Wierzby były teraz podobne do tych ludzi wchodzących przez wysokie okna do naszego kościółka. Oni też mieli na głowach niebieskie od starości włosy. Od tego deszczu aż do żniw, początkowo w koronach wierzby, a później nad wierzby, stało słońce. Nie było większe od jesiennego ogniska. Również wydawało się, że jest ułożone z wiklinowego suszu, perzu i garści siana. Ale pod tym słońcem było cieplej niż przy ognisku. Gdy chodziłem pod nim, wydawało mi się, że jestem wtulony w gorący brzuch owcy.

Teraz już bez przeszkód, codziennie od rana do zmierzchu, graliśmy w palanta. Jedni z nas stali pod wierzby uderzając w piłkę dębową pałąk uciętą z bijaka. Drudzy rozrzućeni po odsłoniętym błoniu starali się chwycić śmigającą piłkę. Gdy byliśmy zmęczeni, wchodziliśmy pod wierzby. Ci, którzy przegrali, siadywali wprost na błoniu. Zwycięzcy natomiast mieli prawo zasiać w koronach wierzby. Zwyciężonym nie wolno się było odzywać. Musieli słuchać rozkazów zwycięzców. Poza tym musieli powymować z kieszeni wszystkie guziki, gwoździe, sznurki. Otrzymywali je z powrotem dopiero nazajutrz.

Tego dnia siedziałem akurat jako jeden ze zwycięzców w wierzbowej koronie. Jeden z moich zwyciężonych rówieśników wyjął z kieszeni metalowy scyzoryk. Bardzo mi się podobał. Nigdy jeszcze nie miałem takiego scyzoryka. Takim scyzorykiem można wycinać z dzikiego bzu pukawki, ostrugiwać rzepę, rozcinać jabłka. Można go nawet nosić na pleconym sznurku przywiązany do guzika u szelek. Iść z nim na odpust do drugiej wsi, na festyn, na wesele. Z takim scyzorykiem nie bałbym się dorosłych wyciągających na weselach rzeźnicze noże, gnypy, siekiery. Włazłbym na bęben huczący w kącie izby, tupnął nogą obutą w podkuty trzewik i kazałbym grać najlepszemu sztajerka dla ojca. A mamie kazałbym grać polkę. Zawsze

lubieć patrzeć na tańczącą mamę. Rozjaśniały się wtedy jej dereniowe oczy, odrzucała głowę do tyłu i tańczyła w ogromnym kole halek podobnych do rozbitej kamieniami wody.

Och, jakże bardzo chciałem mieć taki scyzoryk. Chodzić z nim na odpusty, na wesela. Postanowiłem, że do najbliższego odpustu będę zbierał grosz do grosza. Może na odpuście znajdę taki scyzoryk.

I byłbym dotrzymał słowa, gdyby nie ta dziewczynka idąca z kozą środkiem błonia. Widząc nas, skręciła pod wierzby.

- Czemu siedzicie. Chodźcie zagrać w palanta. No czemu siedzicie. Myślicie, że nie potrafię trafić w piłkę. Wielkie cuda. Pewnie się boicie, że was ogram.

Zaśmialiśmy się i zaczęliśmy w nią rzucać kawałkami wierzbowej kory. Dziewczynka poczerwieniła, odepchnęła oskubującą jej warkoczek kozę i zaczęła w nas rzucać garściami ziemi z kretowiska. Zeskoczyliśmy z wierzb. Otoczyliśmy ją kołem. Mieliśmy między sobą to głupiutkie stworzenie niepodobne do nas, z warkoczykiem na plecach, z grzywką szczesaną na oczy, w sukience, przez którą prześwitywały kozie nogi. Zbliżyliśmy się do niej coraz bardziej. Któryś z nas krzyknął, żeby ją związać wierzbowymi witkami i wrzucić do pobliskiego stawu. Rówieśnik, posiadacz cudownego scyzoryka, wymknął się z koła, wszedł na najbliższą wierzbę i zaczął nam zrzucać cięte witki. Skręcaliśmy je w rękach, aby były miękkie. Już witki były gotowe, kiedy dziewczynka odepchnęła mnie z całych sił i wyskoczyła z koła. Zanim się spostrzeżliśmy, co się stało, wspięła się na wierzbę, na której siedział nasz rówieśnik. Wyrwała mu scyzoryk, po czym zepchnęła go po gałązkach na ziemię. Stała teraz w wierzbowej koronie z otwartym scyzorykiem w dłoni.

Krzyczała:

- No chodźcie, chodźcie teraz do mnie. Czemu nie idziecie?

Zaczęliśmy w nią rzucać garściami ziemi. Dziewczynka zaczęła wrzeszczeć. Z pobliskich domów powychodzili dorośli. Przestaliśmy rzucać w dziewczynkę. A ona powolutku, przytrzymując się wierzbowych witek, zeszła na błonie.

- A scyzoryka wam nie oddam. Za karę. Chyba że mnie Pietrek pocałuje. No czemu stoisz. Nic ci nie zrobię. O patrz, scyzoryk schowałam do rękawa. Nie chcesz mnie pocałować, to nie. Obejdzie się. A scyzoryka wam nie oddam.

I zaczęła odchodzić pod wierzbami. Szliśmy za nią. Baliśmy się jednak podejść do niej. Gdyśmy się zbliżali na parę kroków, odwracała się trzymając w uniesionej dłoni otwarty scyzoryk. Odprowadziliśmy ją aż pod dom. Przez furtkę wpuściła na podwórze kozę, sama weszła na płot i pokazując nam język zeskoczyła z płotu, i tyleśmy ją widzieli.

Chłopcy rzucili się na mnie. Zaczęli mnie ciągnąć za koszulę, popchać. Któryś pociągnął mnie za włosy. Zaczęliśmy się bić. Bili mnie wszyscy. Po twarzy, po karku. Kiedy z nosa pociekła mi krew i upadłem na ziemię, zaczęli mnie kopać bosymi stopami. Podnosiłem się na łokciach i kąsałem ich w

łydki. Odskakiwali ode mnie rzucając we mnie końskim łajnem zbieranym z drogi. Wołali: całownik, całownik!

Nie mogli mi bardziej dokuczyć. Zerwałem się z drogi i zacząłem w nich rzucać kamieniami. Uciekali. Ale właściciel scyzoryka, najmniejszy z nich, został w tyle. Dopadłem go. Stoczyliśmy się do rowu. Chwycił mnie zębami za ucho. Ugryzłem go w pośladek. Puścił moje ucho. Wrzasnął. Wrzeszczał coraz głośniejsz: całownik, całownik. To ty ukradłeś mi scyzoryk. Zmówiłeś się z tą złoścnicą, ty całowniku babski.

Chciałem go kopnąć w goleń. Wiedziałem, że najbardziej boli. Zobaczyłem jak po jego nodze spływa krew: Przeraziłem się. Głaskałem go po głowie, uciszałem. Nic nie pomagało. Wtedy obiecałem, że odbiorę dziewczynce scyzoryk. Najdalej w niedzielę będzie go miał z powrotem. Przestał wrzeszczeć. Wytarł twarz piąstkami i pochlipując pokuśtykał do domu.

Bałem się wracać przez wieś. Wiedziałem, że przed każdym domem stoją rówieśnicy. Od tej pory będą za mną wołać: całownik, całownik. Wolałbym wszystko niż to. Nawet gdyby mi poucinali wszystkie guziki u portek, ukradli parkę moich siodlatych gołębi, zdeptali moje pestkowe szczepy jabłonek i śliw, nie mogliby mi bardziej dokuczyć. Wszedłem w pola. Ale i tu bałem się, że mnie dojrzą. Przeto szedłem na czterech łapach między zbożem zawiązującym się dopiero w drugie kolanka. Byłem w domu.

Od tej pory przestałem grać w palanta. Całymi dniami przesiadywałem pod sadem rzucając kamieniami w siadające w jabłoniach ptaki. Młodszego brata i siostrę ciągnąłem za włosy, a gdy zaczynali płakać, szczypałem ich w policzki. Czasem udawałem, że jestem dla nich dobry. Po drabinie stojącej koło wiśni wprowadzałem ich na drzewo. Nachylałem im gałązki z czarnymi od słońca owocami i kiedy zaczynali je obgryzać wprost ustami, wrzeszczałem: cygan, cygan i zeskakiwałem z drzewa. Od pnia odtrącałem drabinę. I tańczyłem z radości, kiedy brat i siostra przerażeni nie mogli zejść z drzewa.

Czasem tylko, klucząc między już wykłoszonymi zbożami, razem z psem szedłem nad pobliską rzekę. Po drodze przypominając sobie dziewczynkę, młóciłem okutą w blachę laską przekwitające żyto. Zmęczony, z koszulą przepoconą na plecach, przychodziłem nad rzekę. Niemal zrywałem z siebie ubranie i nagi wskakiwałem z wysokiego brzegu do złotej od żółtego piasku wody. Kąpałem się do utraty tchu, nurkując do samego dna. Wydierałem garściami piasek i żwir i wprost z rzeki rzucałem nim w kręcącego się po brzegu psa. Ale pies skomląc nie chciał skoczyć do mnie. Wtedy wychodziłem z wody, dla odetchnięcia kładłem się w gorącym piasku i przez osikowe liście spoglądałem na niebo podobne o tym czasie do skoszonej na pokos pszenicy. Liczyłem obłoki. Jeżeli nade mną było ich więcej niż siedem, przywoływałem psa i chwytając go za skórę na grzbiecie, z całych sił wrzucałem go do rzeki. Pies piszcząc szedł pod wodę. Wyskakiwał z niej bijąc przednimi łapami w niebo, w powietrze, w wodę. Rozbijał stojące w wodzie

obłoki. Złościło mnie to jeszcze bardziej. Nie mogłem dłuższy czas patrzeć na obłoki stojące w niebie. Bolały mnie oczy. Natomiast obłoki stojące w wodzie uspokajały mnie. Kiedy pies wspinał się na gliniasty brzeg, przywoływałem go do siebie i znów rzucałem go do rzeki. Rzucałem go dopóty, dopóki nie zaczynał skomleć. Wtedy skakałem na oślep w to psie skomlenie i wyciągałem ogłupiałe zwierzę z wody. Zziajany łasił się do mnie wlokąc po gorącym piachu mokry brzuch. Ale go nie głaskałem. Odpychałem od siebie jego mokry łeb podobny do podłużnej tykwy.

O zmierzchu wracałem do domu. Od kilku dni sypiałem sam w stodole. Wprawdzie bałem się świecącego przez szczeliny nowiu, siana cykającego zwiezionymi razem z nim polnymi konikami, jabłoni czochojących się jak ogromne zwierzęta o strzechę stodoły. Wolałem jednak sypiać zagrzebany w sianie pachnącym końskimi nozdrzami. Tu najczęściej śniła mi się ta dziewczynka z warkoczykiem skaczącym po jej plecach. Tu też najczęściej przyłapywałem ją w kącie sadu, w dalekim polu, w nadrzecznej wiklinie i biłem ją po obnażonych pośladkach dopóty, dopóki nie oddała mi scyzoryka.

Wtedy za kark cieńszy od pnia pięcioletniej jabłunki prowadziłem ją do rówieśników grających na błoni w palanta, przyginałem ją do ziemi tak, żeby ukłękła i na kolanach kazałem jej odwołać to, czego ode mnie żądała. I znowu grałem w palanta, łapałem lecącą poprzez niebo piłkę, biegałem między wierzbami.

Ale dziewczynki żywej nigdy i nigdzie nie potrafiłem zdybać. Do późnej nocy przesiadywałem pod jej sadem. Ale ona nie wychodziła pod sad. Przeto postanowiłem, że ukradnę jej kozę upolowaną na pobliskim błoniu. Czekałem tylko sposobnej chwili. Pełnego południa, kiedy wszyscy są przy żniwach, albo zmierzchu. Dziewczynka jednak zabierała kozę tuż przed południem i tuż przed zmierzchem.

Pewnego dnia, nieprzytomny z wściekłości, nie mogąc usiedzieć dłużej pod nagrzanym do fioletu sadem, wyszedłem nad pobliski staw. Rozgarniając rękami rosnącą wokół stawu czerwoną wiklinę, zbliżałem się do prószącej chłodem wody. Szedłem zapatrzony w podobną do podbiału i skrzypu wodę, kiedy ktoś podstawił mi nogę. Upadłem w wiklinę. Zanim się podniosłem, usłyszałem śmiech. Spojrzałem w bok. W glinianym dołku wylizanym szorstko do czerwonej gliny przez deszcze, wyścielonym naciętą wikliną i podeschniętą trawą, leżał Jasiek. Wiedziałem, że jest złodziejem. Kiedy odbywa się wesele, nikt tak jak on nie potrafi wynieść z komory pszennych kołaczy z twarogiem, z odpustowego kramu ściągnąć największe piernikowe serce, do najczystszej studni powrzucać przejrzałe, gnijące w wodzie w kilka godzin dynie.

Zerwałem się z wikliny i już miałem uciekać, kiedy Jasiek schwytał mnie za piętę.

- O, bratku, gdzie ci to tak spieszno. Poczekaj, nie zarżnę cię przecież. Widzisz, od kilku dni z nikim nie rozmawiałem. Język aż mnie świerzbi. Chciałbym z kimś pogadać. No, z tobą żadna rozmowa. Nic nie rozumiesz, nie

doradzisz. Ale zawsze to lepiej gadać przy takim jak ty, niż turbować się z samym sobą. Widzisz, mam dziewczynę. Nie, nie w naszej wsi. U nas wszystkie takie honorne, spojrzeć na mnie nawet nie chcą. Mam ją tam, za tym lasem. Daleko, nie? No właśnie. Co wieczór ganiać na piechotę taki szmat drogi. Mówię ci, nogi mi włożą do tyłka. A poza tym wstyd. Do tamtejszej panny dziedziczki dziedzic z tej drugiej parafii przyjeżdża na bułanku, a i syn wójta też na dereszku jeździ do naszej sołtysówny. To tak sobie myślę, że ja nie gorszy. Ale konia nie mam. Wprawdzie u mojego ojca stoi coś w stajni. Ale to żaden koń. Chude toto, ledwie starego na jarmark zawiezie. Poza tym - ukradź staremu szkapę to tyle, co proboszczowi wynieść z kościoła świętego Józefa. Lament na cały powiat. To sobie myślę tak. U dziedzica naszego jest taki trzylatek, z białą gwiazdą na czole, gniadosz. W czapce przyniosę dorodnego owsa przesypanego cukrem; wiesz ty, smyku, że u dziedzica koniom dają cukier; podsunę mu czapkę pod pysk, pogłaszczę go między uszami, odepnę z łańcuszka, wyprowadzę z obory, wskoczę na niego i tyle mnie widzieli. Chociaż kto wie, czy mi się to opłaci. Jeszcze mnie złapią, wsadzą do ciupy. A wtedy, bądź zdrów, koniku, bądź zdrowa dziewczyno. A szkoda. Dziewczyna jak to jabłuszko, jak obrazek, jak doniczka z mirtem. Mówię ci, trapię się tym wszystkim od miesiąca. Nawet litanie o tym ułożyłem. Co tak patrzysz na mnie. Mówię przecież, że litanie. A, że to tylko do świętych. Nie szkodzi. Ona jak święta. Chcesz posłuchać? No to dobrze. Masz za to gruszkę. Chrup sobie, a ja będę mówił.

Ukradnę konia. Mam już upatrzonogo

Ukradnę konia. Koń jest mi potrzebny.

Ukradnę konia. Będę jeździł na nim do dziewczyny.

Ukradnę konia. Koń rzy po nocach do mnie.

Ukradnę konia. Koń mnie zawiezie do dziewczyny.

Ukradnę konia. Dziewczyna jest mi potrzebna.

Ukradnę konia. Do dziewczyn wszyscy jeżdżą na koniach.

Ukradnę konia. Dziewczyna jest podobna do mamej matki.

Ukradnę konia. Matka kiedyś była też dziewczyną.

Ukradnę konia. Koń mi się śni po nocach.

Ukradnę konia. Dziewczyny przecież nie ukradnę.

Ukradnę konia. Bo nie mam domu.

Ukradnę konia. Musiałbym, z nią mieszkać w lesie.

Ukradnę konia. A w lesie też są deszcze.

Ukradnę konia. Czym bym ją osłonił.

Ukradnę konia. Mam tylko jedną bluzkę!

Ukradnę konia. Dziewczyny nie ukradnę. Wyszło to ze zwyczaju.

Ukradnę konia. Będę jeździł na nim do dziewczyny.

Ukradnę konia. Jestem przecież szanującym się złodziejem.

Ukradnę konia. Wszyscy kradną swoje konie.

Ukradnę konia. Ale nie wszyscy mają swoje dziewczyny.

Ukradnę konia. Dziewczyny przecież nie można ukradć.

Ukradnę konia. Musiałbym wtedy sprzedać konia.

Ukradnę konia. Kupić jakiś dom.

Ukradnę konia. Albo przynajmniej dobrą bluzkę.

Ukradnę konia. Będę jeździł do dziewczyny.

- No co, podobała ci się litania. Ładna, nie? Pokiwałem głową.

- Ty też jak dorośniesz, musisz mieć dziewczynę. Konia też. A skąd go weźmiesz. Ojciec ci przecież nie da. Ma tylko jednego. Musisz ukraść. Ale dość już tego gadania. Serce mam już lżejsze. Poza tym muszę już iść. Las ciemnieje. A przed lasem jeszcze te łąki. Ciężko przez nie przy iść. Pachną o zmierzchu, jakby sto bab wypiekało razowy chleb z kminkiem. Trzymaj się mały. Pozdrów ojca ode mnie. Dobry z niego chłop. Ukrył mnie w chlewiku, kiedy żandarmi przyszli po mnie.

Patrzyłem za odchodzącym złodziejem. Przypomniałem sobie, jak ubiegłej zimy ktoś u babki skradł wszystkie pierzyny. Tuż przed nocą wynieśli je pod sad. Zarzucili na omiecione ze śniegu żerdki. Zjedli kolację i wyszli pod sad. Pierzyn już nie było. Szukali w polu, gonili z psem za śladami idącymi przez wiklinę. Ale widocznie nie były to te ślady, bo złodzieja nie widać było nawet po drugiej stronie rzeki na polanie rozciągającej się między brzożami zagajnika. Musieli spać na rozciągniętych koło pieca snopkach słomy. Teraz dopiero chowają dwa stada gęsi na pierze.

Widziałem, jak złodziej idzie wysokim brzegiem stawu. W wodzie, po dnie czarnym od ściekającej do stawu smoły z rozgrzanych wierzb, widziałem jego postać przechyloną głową w dół. Wydawało mi się, że na plecach dźwiga piętrzącą się wysoko pierzyny. Spojrzałem w niebo. Złodziej, wszedł w oświetlone do czerwieni obłoki. Jeszcze długo widziałem go w wydłużonym stawie. Znikł mi z oczu dopiero za kukurydzą rozciągającą się po drugiej stronie stawu.

Powolutku, przytrzymując się wiklinowych gałązek, zszedłem nad wodę. Chciałem się, zanim zapadnie noc, wykapać. Spojrzałem w staw. W stawie zobaczyłem swoją twarz. Była podobna do twarzy złodzieja, kiedy mówił tę litanię o dziewczynie i koniu. Odwróciłem się gwałtownie. Myślałem, że złodziej powrócił i stoi za mną. Była tylko wiklina. Spojrzałem jeszcze raz w staw. Teraz nad sobą, tuż pod wieczorną gwiazdą, zobaczyłem koński łeb. Wieczorna gwiazda wchodziła mu na czoło. Koń rżał unosząc wysoko szczupły łeb. Spojrzałem poza konia. Stała tam dziewczyna. Była podobna do tej dziewczynki z kozą. Jedynie na plecach zamiast warkoczyka miała dwa grube, związane wstążką warkocze. Ale piegi koło nosa były te same. Nawet tak samo zaciskała piąstki trzymając w nich przesypującą się ziemię. Spojrzałem w niebo. Stało w nim coraz więcej gwiazd. Spojrzałem jeszcze raz w staw. Nie było w nim ani konia, ani dziewczyny. Staw był czarny do samego dna. Pobiegłem do domu. Wszedłem w nagrzaną siano. Spałem nie słysząc czochojących się o strzechę drzew.

W kilka dni później spotkałem dziewczynkę. Szła z kozą nad rzekę. Podszedłem do niej.

- Jeśli mi oddasz nóż, mogę cię pocałować.

Wyjęła nóż z kieszonki fartucha.

- Masz.

I nachylając się, podniosła do nieba twarz. Pocałowałem ją w policzek.

Był zimny. Miał smak suszonych śliwek.

- No widzisz. Nic ci się nie stało. Ja tylko tak. Tatuś mnie nigdy nie całuje.

No to ja tylko tak.

Podskoczyłem z radości. Zacząłem tańczyć koło niej.

- Wiesz co, jak urosnę, ukradnę konia. Będę jeździł do ciebie. Chcesz?

- No pewnie. Ale u kogo ukradniesz? Tylko nie próbuj u nas. Do naszego gniadego nie można się zbliżyć. Kopie. Zabiłby cię jeszcze. A tyś taki dobry. I nadstawiła drugi policzek. Pocałowałem ją oglądając się, czy ktoś nie widzi.

Uciekłem.

Biegłem przez wieś. Na błoniach grali chłopcy w palanta. Zdyszany wbiegłem między nich. Wyjąłem nóż z kieszeni. Podałem go rówieśnikowi.

Wszyscy patrzyli na mnie podejrzliwie.

- Nie pocałowałem jej. Mówię wam, że nie. Złapałem ją nad rzeką.

Wykręciłem jej rękę, wziąłem za kark, ścisnąłem, aż ukłękła. Początkowo nie

chciała oddać noża. Ścisnąłem z całych sił. Zaczęła płakać. Ze złości. Kopała.

Próbowała gryźć. Ale nie puszczałem jej karku. Upadła na piasek. Zaczęła się

dusić. Nie puszczałem ciągle. Wtedy wyjęła nóż z fartucha i rzuciła go w

chrust. Patrzyłem dobrze. Widziałem, w który krzak upada. Puściłem ją.

Pobiegłem do wikliny. Szukałem długo. Nóż leżał zagrzebany w trawie.

Znalazłem go.

- No to chodź, zagramy. Akurat nam brakuje jednego.

[Spis treści](#)



Ballada pomyłonego

Do wesela ciotki było jeszcze sporo czasu. Wprawdzie ojciec obmacał już uważnie sześciomiesięcznego byczka i wieprzka w czarne łaty, matka z ciotką utykały mchem i gliną szpary między belkami i bielili dom, ale w doniczkach jeszcze nie obcięto mirtu, nie czyszczono popiołem miedzianych blaszek na uprzęży. Dla mnie jednak wesele zaczęło się od dawna. Ojciec obiecał mi, że w dniu weselnym dostanę drewnianego konia.

Od tej pory uciekałem nad rzekę równocześnie z jutrznią. Z łańcucha spuszczałem psa i klucząc między zbożami pełnymi rosy aż po najniższe kolanka, wbiegałem cały mokry na nadrzeczne błonie. Z tego błonia rozciągniętego na lekkim wzniesieniu widziałem między pasami wyciętej wikliny wpływającą pod poranną zorzę prawie wiśniową rzekę. Przystawałem na chwilę przerażony. Wydawało mi się, że między rzeką i zorzą biją się

cietrzewie do ostatniej krwi wielkie stada kogutów. Ale ponieważ pies szorując podpalanym brzuchem wysoką trawę wchodził już w wiklinę, z wielkim krzykiem, rozpościerając ręce, biegłem za nim.

W chruście stał chłód. Wydawało mi się, że każda witka rośnie na soplu lodu, z którego pije pełen drobnych listków szron. Tym też tłumaczyłem sobie zaczerwienione łyko wiklin. Wystarczyło jednak spróbować odłamać którąś z witek, aby się przekonać, że chrust jest pełen kleistego soku i ciągliwej miazgi. Przeto z kieszeni wyjmowałem blaszany kozik, ścinałem gałązkę, osmykiwałem ją z liści, przycinałem i siekąc nią pokrzywy, wchodziłem nad rzekę.

Tu wycinałem dwie grubsze rozwidlone gałęzie, zastrugiwałem je i wbijałem do ziemi. Na nich kładłem długą żerdkę. W chruście zbierałem podeschniętą trawę. Rzucąłem ją na żerdkę. Kiedy żerdka była już półokrągła, jak dobrze wypasiony grzbiet żrebaka, z drobnutkich gałązek obrzucanych gliną starałem się uformować koński łeb. Gdy koń był gotów, tańczyłem wokół niego. A pies, jakby czując koński pot, skakał coraz wyżej starając się schwytać zębami wiklinowy pysk żrebaka.

Tego dnia, kiedy łeb żrebaka prawie stwardniał na słońcu w białą skorupę, zobaczyłem idącego brzegiem rzeki człowieka. Na ramieniu niósł czerpak. Co parę kroków wstawiał go ostrożnie w wodę. Po minucie wyciągał go pospiesznie. Ale w czerpaku nie było ryb. Woda była zbyt jasna, oświetlona przez sierpniowe niebo i piaszczyste dno. W takiej wodzie wprawdzie widać ryby jak obłuskane z piór kolby kukurydzy, ale nie można ich schwytać.

Człowiek był tuż przy mnie. Ukryłem się w wiklinie. Kiedy czerpak wstawił w wodę i czekał z ręką na drgającej żerdce, wyskoczyłem krzycząc z czerwonej wikliny. Człowiek również krzyknął, ale nie porzucił czerpaka. Zaczął go wyciągać pośpiesznie. W sieć wyskakującą z wody uderzyła ryba. Człowiek wbił żerdkę w ilt i zaczął przyciągać czerpak za jeden z czterech rogów. Ryba trzepotała się tuż koło jego ręki. Schwytał ją sprawnie za oskrzela i rzucił poza siebie na rozparzony piach. Wtedy dopiero spojrzał na mnie.

- Czemu mi płoszysz ryby. Wrzucę cię do wody. Albo powiem ojcu, żeś mi ukradł kozuch.

Wyjąłem z kieszeni kawałek chleba i podałem go Frankowi. Był to wiejski pomyłony. Przychodził do nas często. Zwłaszcza zimą, kiedy od mrozu pękały drzewa, a śnieg sięgał po łby wierzb. Za zimno było na sypianie w dworskim stogu, albo w stodole w resztkach siana. Był łagodny. Opowiadał, jak to kiedyś udało mu się ustrzelić jedną kulą trzy zające, wynieść na rękach wóz Judki stojący po osie w rozkistej drodze, za Wisłą ukraść konia i przenieść go przez rzekę. Rzeczywiście był silny. Dwie konewki z wodą, trzymając je za ucha, potrafił nieść przed sobą jak półkwartowe garnuszki. Ale nikomu nigdy nie zrobił krzywdy. Najwyżej ściągnął suszący się w słomianej pleciance serek, oberwał kilka jabłek, wypił śmietanę spuszczoną w blaszance do

chłodnej studni.

- Wiesz co, upieczemy rybę. Pewnieś głodny. Późno już. Słońce, popatrz, stoi mi nad głową. Południe. Przynieś suszu. Ja tymczasem oskrobię i wypatroszę rybę.

Po chwili rozpaliliśmy ognisko. Ryba wypatroszona i zatknięta na patyku skręcała się nad ogniem. Kiedy była miękka, pomyłony przełamał ją w rękach i podał mi połowę. Pochłaniałem ją przerzucając z ręki do ręki gorące kęsy.

Po zjedzeniu ryby zeszliśmy do rzeki, aby się umyć.

- A może się chcesz wykąpać? Może chcesz iść na tamtą stronę? Tam są takie ptaki. Nigdzie nie ma takich ptaków. Większe od psa, od żrebaka większe. A jakie mają pióra! Gdybym miał takie pióro, całymi dniami siedziałbym na progu i spoglądał przez nie na niebo, albo na ludzi. Gdy się patrzy przez to pióro, to ludzie chodzą po niebie, a po ziemi tamci ludzie z nieba. No, chcesz iść na tamtą stronę? Nie bój się. Jak chcesz, to zawołam taką rybę. Stanie w poprzek rzeki i przejdiesz po niej suchą nogą. Mówię ci, mam taką rybę. Wystarczy mi gwizdnąć, a ustawi się w poprzek rzeki. Ile razy przechodziłem po niej na tamten brzeg. No, jeśli nie chcesz. Ale nie będziesz miał nigdy tego pióra.

Wyszliśmy na brzeg. Pokazałem mu mojego żrebaka. Pogłaskał go po łbie, przejechał ręką wzdłuż grzbietu, pokiwał głową.

- Ładny. A jaki narowisty. Widziałeś, jak potrząsał łbem, kiedy go skrobałem pomiędzy uszami. Ale mały. Trochę za mały pod ciebie. Załamię się, gdy siądziesz na niego. Poza tym pewnie jeszcze za cicho rzy. Nie usłyszysz go, gdy będzie chciał, żebyś mu podał wody. Sprawię ci większego. Z falującym ogonem, z taką grzywą, że będziesz mógł na niej spać jak na pierzynie.

Pogłaskałem go po ręce. Powiedziałem mu, że ten koń jest tak, na niby. Prawdziwego ma mi sprawić ojciec w dniu wesela ciotki.

- A o tym kożuchu, którym cię straszylem, to prawda. Przedwczoraj szedłem przez wieś. W samo południe. Ludzi wtedy mało. Nawet dzieci nie widać. Siedzą w beczkach po kapuście, w słomianych kojcach wyścielonych sianem. No to szedłem w to południe przez wieś. A u Ptoka, no u tego, co się kąpie w studni, wisi na płocie kożuch. Czerwoniutki, wyszywany, mówię ci, przejść nie daje. No to stoję w to południe, na tej drodze i patrzę na ten kożuch. Myślę sobie - ciepły, bardzo ciepły. Czerwoniutki taki, wyszywany. Przydałby mi się taki. Na zimę. Ptokowi nic po nim. W studni się kąpie, tłusty. Bez koszuli by chodził w mróz najtęższy. A kożuch mnie ciągnie. Coraz bliżej, coraz bliżej. No tom się już nie bronił. Jak tak ciągnie, myślę sobie, to pewnie wie dlaczego. I przyciągnął mnie. Wziąłem go i w żyto. Schowałem go, zawiązałem nad nim w węzełek kilka garści zboża i jak nigdy nic wychodzę na drogę. A tu Ptok stoi na podwórzu. Nawet się uśmiecha. A ja idę. A Ptok zaczyna się śmiać. Przystanąłem. A on wtedy do mnie:

- Franek, wzięłeś kożuch. - Ale skąd - powiadam. A Ptok mówi: - Franek, wzięłeś kożuch. - I tak kilka razy. No to co miałem robić. Przyznałem się.

Idziemy z Ptokiem w żyto. Idziemy i idziemy. Schodziliśmy całe pole. I co powiesz, kożucha nie było ani tam, skąd go wziąłem, ani tam, gdzie go położyłem. Ale ty się nie przejmuj. Mało to kożuchów na świecie. Nie mam tego, będę miał inny. Ojej, ale się zagadałem. Patrz, jak późno. Słońce już zeszło z mojej głowy. Muszę się spieszyć, ubiec słoneczko, bo inaczej będę błądził po łąkach, zanim trafię do stogu.

I pomylony zaczął zwijać sieć. Żerdkę z rogami rzucił na wiklinę. Jeszcze piaskiem zasypał rozprzestrzeniające się aż do suchej trawy ognisko, i zaczął wchodzić w chrust. Usłyszałem jak woła z chrustu:

- A konia ci przyprowadzę!

Nie chciało mi się wracać do domu. Spoglądałem na tamten brzeg. Wydawało mi się, że w falującej od czerwieni do zieleni wiklinie widzę przelatujące ogromne ptaki. Migwały mi ich pióra. Spoglądałem przez nie na niebo czerniejące u widnokresu. Po nim przesuwały się naładowane zbożem wozy, łby końskie, ludzie. Chciałem zagwizdać, aby przywołać tę wielką rybę i przejść po jej grzbiecie na tamten brzeg. Ale umiałem gwizdać tylko na psa.

Z żalem, z psem skaczącym do wzniesionej wysoko ręki, odchodziłem znad rzeki.

Odtąd codziennie, od samego świtu przesiadywałem nad rzeką oczekując pomylonego. Ale on nie nadchodził. Widocznie przenosił zza Wisły konie, szukał kożucha, urywał z żerdki suszące się w słomiance serki.

W domu tymczasem był coraz większy ruch. Przesiewano pytlową mąkę, rozbijano jajka, mieszano ser z rodzynkami, pieczono ciasto. Pod sadem u suchej śliwki wisiał oskórowany byczek, rozćwiartowany na dwie połówki wieprzek. W ich ślepiach odbijał się sad z przelatującą pod nim sroką. Wyżej stało niebo pełne jęczmiennych i owsianych kłosów.

Gdy się obudziłem nazajutrz, wesele zaczynało się u samego świtu. Na przemian to flet, to skrzypce wymieniały się ze sobą prowadząc między opłótkami skoczną melodię. W melodii stała zieleń ledwie obrysowana światłem. Z tej zieleni wychodzili ludzie. Ubrani odświętnie nieśli pod pachami zawiniątka z masłem, serem, zeszłorocznym makiem i z głowami cukru. Na końcu między zielenią ukazali się dwaj ludzie. Nieśli ogromnego pawia. Jeden trzymał go tuż koło głowy, drugi podtrzymywał jego długi ogon. Widocznie wszyscy weselnicy czekali na nich, bo kiedy wyszli spod zieleni, zagrała głośniejsza kapela, a mężczyźni zaczęli przytupywać i klaskać w dłonie. Kiedy niosący pawia zbliżyli się pod ganek, podszedł do nich starosta weselny częstując ich wódką. A tymczasem paw przechodził z rąk do rąk. Kiedy doszedł do mnie, był prawie całkowicie oskubany. Wyrwałem z jego ogona ostatnie piórko. Byłem pewny, że pomylony wspominał o tym ptaku. Przez piórko spojrzałem na niebo. Widocznie jednak było zbyt małe, bo nic nie dostrzegłem.

Tymczasem dorośli pozatykali sobie pawie pióra do czapek i paradowali w nich pod sadem. Kapela grała bez przerwy. Przed ganek wyszywany w dereniowym drzewie zajeżdżali weselnicy z dalszych wsi. Wyskakiwali z

wasążków, podchodzili do ciotki, całowali ją w usta i odchodzili pod sad, gdzie dopijano pierwszą beczkę jabłecznika.

Mnie bardziej od ludzi zajmowały konie. Przywiązane na lejcach do kołków płotu gryzły werbliki. Młodsze z nich i narowicie wypasione na owsie, zakładały sobie nawzajem łby na szyję. Przechadzałem się między nimi. Co dorodniejsze spośród nich drapałem pomiędzy uszami. Widocznie sprawiało im to ogromną przyjemność, bo unosiły górne wargi, odsłaniając podobne do łupkowego piaskowca zęby. A ja je drapałem nadal. W ten sposób rozbrajałem je zupełnie z wielkości i siły. Teraz konie były zupełnie podobne do drewnianych odpustowych koników. A właśnie takiego miałem dziś otrzymać.

Przy klaczach były również źrebaki urodzone na wiosnę. Z nimi bawiłem się jak z młodszym bratem., Wchodziłem im pod brzuchy, łaskotałem je w cieniutkie pęciny. Lizwały mnie po rękach i wkładały mi łby pod pazuchy. Wchodziłem do stodoły, wysmykiwałem co zieleńsze siano i podtykałem im pod pyski. Ze strychu znosiłem zsypane na plewy kolby kukurydzy. Wtykałem je źrebakom w rozchylone zęby. A kiedy zaczynały obgryzać ziarno z kolb, przykładałem policzki do ich skleconych z deszczulek pysków. Słuchałem, jak im stuka chrupkie drewnienko u nasady czaszek.

Wśród źrebaków upatrywałem dla siebie konia. Na nim miałem kiedyś jeździć do tej dziewczyny z warkoczykiem skaczącym po jej wąziutkich plecach.

A tymczasem z naszego domu wynoszono cięty mirt i szparagus. Za szparagusem i mirtem wytoczono ogromne koło chleba. Za chlebem wyprowadzano ciotkę i wuja. Pod sadem zakrzyczał oskubany paw. Zagrała kapela. Wszyscy wsiedli do bryczek i odjechali do pobliskiego kościółka. A ja, aby nie jechać razem z nimi, wlałem do psiej budy. Pies uradowany, że wreszcie przypomniałem sobie o nim, lizał mnie szorstko po twarzy. Skomlił przy tym z uciechy. Musiałem go szarpnąć za ogon, aby się uciszył. Przez okrągły właz psiej budy widziałem tańczące jakby na sprężynach konie, malowane koła bryczek i niziutką trawę, na którą spod kopyt sypała się ziemia z roztrącanych kretowisk.

Kiedy wesele odjechało, wylazłem z psiej budy. Dom był przybrany jemiołą. Rozwarty na przestrzał sącył gorzką żywicę do wchodzącego coraz wyżej na łupkowy dach upału. Z uchylonej kuchni pachnącej gorącym ciastem, pieprzem i imbirem dolatywał ostrzony na osełce donośny głos kucharki. Wbiegłem do kuchni wrzeszcząc, że urwane ze stajni cielę wypija pod sadem z odbitej beczki resztę jabłecznika. Kiedy kucharka wybiegła, ściągnąłem z misy kurzą nogę, a ze stołu ćwiartkę kołacza. Tylnymi drzwiami wybiegłem wprost w dorastającą kukurydzę. Kawalek kury i kołacza schowałem w kukurydzy. Miał to być poczęstunek dla pomyłonego.

Kiedy wróciłem pod sad, z błonia nadjeżdżało wesele. Na przedzie jechała muzyka. Za nią bryczka z młodą parą. Za nimi reszta weselników. Zsiadali z bryczek, odprzęgali konie przywiązując je do płotów i jabłoni.

Począwszy od płotu ojciec z matką częstowali gości wódką i pokrojoną na kawałki kielbasą. Goście dziękowali i wchodzili pod sad, gdzie stały ustawione zbite z nie heblowanych desek stoły. Weselnicy rozsiedli się na drewnianych ławach i teraz dopiero rozpoczęło się prawdziwe wesele.

Byłem tak zajęty spoglądaniem na idące tanecznie konie, na ich kantary w dzwonek, w blaszkach, we wstążkach i w mircie, że nie spostrzegłem pomyłonego. A on już stał pod sadem i wołał na mnie. Przed nim na drewnianych biegunach kołysał się wysoki, malowany na czerwono koń. Wszedłem pod sad. Pomyłony podniósł mnie i posadził na drewnianym grzbiecie konia. Zaczął go huścić przyciskając bosą nogą jego biegun.

- No widzisz, przyrzekłem ci konia i przyprowadziłem. Będiesz mógł teraz na nim jeździć gdzie tylko zechcesz. Nawet do Ameryki. Tylko że tam jest morze. A, to nic. Koń jest tak chybki, że jednym susem przeskoczy przez wodę. A do dziewcząt możesz teraz jeździć, kiedy tylko zechcesz. No nie czerwień się, wiem przecież, że ci się podoba ta piegowata.

Mówiąc to ciągle mnie kołysał. Początkowo wydawało mi się; że to tylko kołysze się koń. Po chwili jednak spostrzegłem, że razem z koniem kołysze się sad, niebo rozciągnięte nad sadem. A gdy spojrzałem niżej, widziałem jak w dół i w górę skaczą owsiane pola, zagajniki rosnące za nimi i las ucięty do połowy przez te zagajniki. Poprosiłem pomyłonego, żeby zatrzymał konia. Zszedłem z jego grzbietu i pociągnąłem go za dom. Z kukurydzy przyniosłem mu kurzą nogę i placek. Jadł chciwie, wpychając palcami do ust co większe kawałki mięsa i kołacza. Kiedy się nasycił, usiadł na trawie.

- Szkoda, żeś nie chciał iść ze mną na tamtą stronę rzeki. Byłbyś już miał to cudowne pióro. Widziałbyś wszystko tak jak ja. Wprawdzie ja nie spoglądam przez nie, ale i tak wszystko widzę jeszcze piękniej. Chcesz, to cię nauczę tak patrzeć. Musisz tylko przymknąć oczy. Wtedy pogłaskam cię po głowie i staniesz się taki sam jak ja.

Przymknąłem oczy. Franek pogłaskał mnie po włosach. Otworzyłem źrenice. Spojrzałem pod sad. Zobaczyłem weselników. Ale nie byli to ci sami weselnicy, którzy zjeżdżali do nas rano. Przy stołach siedzieli zupełnie inni. Przez nich przepływało światło, mieli długie do kostek suknie, nad nimi kołysały się podobne do ogromnych gałęzi ptaki. Spojrzałem wyżej. Na niebie stały ustawione stoły. Przy tych stołach siedzieli poranni weselnicy. Zobaczyłem, jak wuj całuje w usta moją ciotkę. Za nimi grała kapela. Wszyscy klaskali w ręce. A później zobaczyłem, jak ojciec odbija drugą beczkę jabłecznika i roznosi go w dzbanku między weselników. I widziałem również psa kręcącego się pod stołami. Ale nie był to już ten sam pies, którego biłem pięścią po głowie, targałem za uszy, wrzucałem za grzbiet do zielonej rzeki. W jego ogromnych ślepiach widziałem swoją twarz, mój dom, każdy krzaczek, z przelatującą nad nim wilgą.

Spojrzałem na pomyłonego. Jego twarz jaśniała.

- Wiesz co, teraz, gdy jesteś do mnie podobny, zaśpiewam ci moją litanię. Przedtem byś mnie wyśmiał. Teraz mogę ci ją zaśpiewać.

Chcę być pomyłony. Pomyleni mają w głowie słońeczko.
Chcę być pomyłony. Pomyleni wiedzą, gdzie jest Bóg.
Chcę być pomyłony. Pomyleni chodzą pełni snu.
Chcę być pomyłony. Pomyleni mają inne ptaki, inne ryby.
Chcę być pomyłony. Pomyleni chodzą zanurzeni w wodzie.
Chcę być pomyłony. Pomyleni nie płaczą nad sobą.
Chcę być pomyłony. Pomyleni żyją poza sobą.
Chcę być pomyłony. Pomyleni nie boją się ludzi.
Chcę być pomyłony. Pomyleni nie dają się głaskać.
Chcę być pomyłony. Pomyleni to są świeccy święci.
Chcę być pomyłony. Pomyleni błogostawią chleb.
Chcę być pomyłony. Pomyleni wyplatają kosze.
Chcę być pomyłony. Pomyleni wyplatają sieci.
Chcę być pomyłony. Pomyleni drążą w drewnie czółna.
Chcę być pomyłony. Pomyleni ujeżdżają wody.
Chcę być pomyłony: Pomyleni zastawiają sieci.
Chcę być pomyłony. Pomyleni wyciągają z wody ryby.
Chcę być pomyłony. Pomyleni napełniają rybą kosze.
Chcę być pomyłony. Pomyleni niosą chleb ze wzgórz.
Chcę być pomyłony. Pomyleni dzielą chleb i rybę.
Chcę być pomyłony. Pomyleni zbierają okruchy.
Chcę być pomyłony. Pomyleni przychodzą do Boga.
Chcę być pomyłony. Pomyleni odchodzą od Boga.
Chcę być pomyłony. Pomyleni tkają sobą niewidzialne sukno.
Chcę być pomyłony. Pomyleni zaścielają suknom wszystkie ścieżki.
Chcę być pomyłony. Pomyleni najciszej prowadzą nas suknom.
Chcę być pomyłony. Pomyleni zostawiają nas na suknie ścieżek.
Chcę być pomyłony. Pomyleni wiodą suknom Boga.
Chcę być pomyłony. Pomyleni ukrzyżowali siebie.
Chcę być pomyłony. Pomyleni zostawiają nas Bogu.
Chcę być pomyłony. Pomyleni odchodzą samotni.
Chcę być pomyłony. Pomyleni mają w głowie słońeczko.

Litania, a raczej ballada, urwała się. Pomyłony wstał z trawy i począł tańczyć. Tańczył coraz dalej ode mnie. Był podobny do ogromnego wrzeciona. Wydawało mi się, że z jego ciała tańczącego nieustannie rozwija się dalszy ciąg ballady. Pomyłony tańczył już pod sadem. Poza sadem. W czerwonej wiklinie rosnącej nad stawem. Już mi znikał z oczu. A tam, gdzie znikał, unosił się dym, jakby ktoś siedzący w wiklinie palił ogromną wiśniową fajkę. Zostałem sam.

Przedemną pod sadem kołysał się na biegunach drewniany koń. W sadzie przy stołach zbitych z desek siedzieli weselnicy. Dopijając już trzecią z kolei beczkę jabłecznika, zupełnie nie wiedzieli, co zaszło pomiędzy mną i pomyłonym. Byłem rad, że o tym nie wiedzą. Nie chciałem, aby ktokolwiek,

nawet spośród moich najbliższych, dowiedział się o tym, co widziałem na ziemi, i na niebie, kiedy pomyłony położył mi na głowie rękę.

Kiedy weselnicy zaczęli wstawać od stołów coraz bardziej jaśniejących pod zmierzającym się sadem, aby się rozgrzać w oberku, ja jeszcze raz wsiadłem na drewnianego konia. I kołysałem się na nim dopóty, dopóki we mnie nie zahuczała kukułka, nie zaśpiewała wiosenna wilga, nie zakrzyczał paw.

A tymczasem wesele uciszało się powoli, jak buszujące w słomie wieczorne ognisko. Weselni goście, pogodzeni ze sobą na z dawien dawna obmyślonych przyśpiewkach, rozjeżdżali się do domów. Ci, którzy pozostali, wysmykiwali ze stodoły siano, rozścielali je na klepisku, przygotowując się do snu. Uciszeni, wsłuchani w przechadzające się w nich zwierzęta, szeptali przez sen z kruszącym się sianem. A mnie, leżącemu z otwartymi żrenicami, zdawało się, że obok mojego ciała śpi złodziej i pomyłony. Zdawało mi się również, że na polu u furtki rzy cichutko mój drewniany koń, przywołując do siebie złodzieja, a u stawu siedzą święci z sieciami pełnymi ryb, a nad nimi tańczy słoneczko, które wyszło z głowy pomyłonego. I szedłem do konia i szedłem do świętych, niosąc brakujący im do pełnej świętości chleb. Gdy się przebudziłem i wyszedłem pod sad, na niebie znów widziałem naszych weselnych gości pijących ostatni garnuszek jabłecznika, zaprzęgających konie, odjeżdżających w zieleń.

[Spis treści](#)



Ballada Chrystusika

Byłem jasny, przeświecony jak woda przepływająca przez rękę. Niemalże uchylony od wewnątrz, na powrót przyjmowałem wszystko tak dziecinnie, jakby i złodziej i pomyłony odeszli ze mnie, albo jeszcze spali zagrzebani w głębokim sianie. Teraz dopiero widziałem oddzielnie każdą gałązkę na czereśni ze stężałą kulką żywicznego soku na zimowych zadrapaniach. I widziałem, jak się porusza i rozwiązuje z wiechci słomy, wkraczający w porę urodzaju, wiosenny sad. A działało się to wszystko jakby z myślą o tym, aby wkroczyć we mnie, rozjaśnić mnie od wewnątrz jedynie i na zawsze. Nawet bym się nie zdziwił, gdyby w tej chwili zawsze milczący pies trącił mnie łapą i zaczął opowiadać o swoich sobaczych uciechach. Ale powoli w mojej wewnętrznej jasności zaczęły się poruszać dwa cienie. Były niewyraźne, jak zarys paproci oglądanych od spodu na tle czerwcowego nieba. Dopiero powracając niejako w uprzedni dzień, zrozumiałem, że w ten delikatny sposób przypominają mi o sobie i złodziej, i pomyłony. Ale już nie było we mnie tyle miejsca dla nich, co uprzednio. Byłem skąpy, udzieliłem im niemalże miejsca w sobie z gościnności niepewnej, oczekującej jeszcze na kogoś. Zgodziwszy

się w ten chybotliwy sposób na nich, ubrany odświętnie w nakrochmaloną koszulę, przyczesany na bok, wkroczyłem w sad i zacząłem iść w stronę dalekiego lasu. Przechodząc przez łąki czułem niemalże, jak gęsta trawa wchłania mój całonocny sen. Woda w rowach przecinających pola, przez którą przechodziłem powoli i z rozmysłem, jakbym na jej dnie chciał namacać bosą stopą szorstką tarczę słonecznika, przyglądała mi się z ukosa drobną twarzą, na którą ktoś nałożył dwie odstające maski. Łąki ledwie opierzone po sianokosach czerwonymi listkami, pachniały jak wyjęte z malowanej skrzyni czerwone jabłuszko. Dopiero las rozlewający szeroko gęstą terpentynę żywicy, jakby ktoś nacierał ochwacone pęciny stadu koni, przypomniał mi, że nie szedłem tędy, aby nazwać te tylekroć smakowane zapachy i zbierane barwy. Szedłem tędy z wiosennej uciechy, nie wiedząc, że rozwiązana we mnie, jak wstążka u łba weselnego konia, świąteczna radość, była wyjściem naprzeciwko mojego trzeciego wtajemniczenia. Ale ja o tym jeszcze nie wiedziałem. Chociaż, sądząc po niewyraźnych cieniach złodzieja i pomyłonego we mnie, mogłem przypuszczać, że zaniedbuję ich dla kogoś trzeciego, jeszcze mi nie znanego. Szedłem więc przez las, jak przez głęboką wodę, w której rozkruszono całe wiązki ziół. A przelatujące od drzewa do drzewa rzegotliwe sójki, zdradzały wprawdzie wrogie im tajemnice, dla mnie jednak upierały tylko i tak kolorowy las. I byłbym z pewnością doszedł na tę stronę lasu, gdzie Bóg Ojciec zgubił swój pantofel, w którym do tej pory zasypiają sarny, gdyby nie drewniane □Ojcie nasz□ dochodzące z boku. Przystanąłem, myśląc, że to las odmawia swój poranny pacierz. Nie spostrzegłszy jednak, aby którekolwiek z drzew przykłętkło, a nie sądziłem, aby nawet las odważył się odmawiać pacierz na stojąco, poszedłem w stronę głosu. Za jałowcem na małej polanie pod wysuniętym o jeden krok drzewem, stał mozolnie wystrugany kozikiem Chrystusik. On to drewnianymi wargami mówił swój drewniany pacierz. Popatrzył na mnie litościwie, uśmiechnął się, jakby się przejrzał w moim do siebie podobieństwie i przestępując z nogi na nogę, podał mi drewnianą kukułkę. - Masz - powiedział. - Ja się już tym nie bawię, odkąd mnie wyjęli z dziupli. A poza tym zdaje się, że podrosłem. A jeśli tak się stało, najwyższy czas, aby iść, podziękować tym, co mnie z drewna wystrugali. - Popatrzyłem na drzewo. Rzeczywiście była w nim dziupla obramiona deszczułkami rzeźbionymi w kaczeńce. Z dziupli wylewał się smolisty zapach powolnego miodu. Jak wycięte z cieniutkiej blachy, brzęczały wokół dziupli upalne pszczoły. - Wyjęli mnie stamtąd, bo się chcieli dostać do miodu - powiedział Chrystusik i drewniano zachichotał. - Nawet takiemu karzełkowatemu Bogu jak ja nie pozwalają długo mieszkać w miodzie. A dobrze mi w nim było, oj jak dobrze. To serdeczny, to wskazujący palec zanurzałem w miodzie i oblizywałem go mlaskając, aż niedźwiedzim kołowaciał z zawiści jęzor. Ale mnie stamtąd wyrzucili i zabrali miód. Powiedzieli, że to dla dziewcząt. A niech ta, jeśli nie potrafią inaczej, niech im chociaż miodem żywot postodzą. Mnie staremu nic do tego. Prawdę mówiąc, to ostatnio nawet kłopot miałem z tym miodem. Broda mi urosła, bo do ludzi

nie chodziłem i nie miał mnie kto ogolić. Bywało, zdrzemnę się, a tu broda coraz głębiej wchodzi w miód, coraz głębiej. Musiałem ją później wyciągać powoluśku, ostrożnie, włos po włosku. Bo inaczej bolało, a zostawić w miodzie wyrwanych włosów nie wypada. Boskie przecież są. Przeto zbytnio się nie sumuję, że mnie stamtąd wyciepli. Nawet paciorek za nich przed chwilą zmówiłem. - Rozgadał się Chrystusik na dobre. Widać nieczęsto do niego przychodzono, jeśli już było południe, a on gadał i gadał. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, żebym się niecierpliwił, albo jego gadanie było mi dokuczliwe. Byłem jedynie ciekaw, jak też zacznie iść na tych swoich na odsiebkę wystruganych nożynach, a iść do ludzi obiecał. Przemagając onieśmielenie, zacząłem obrywać z gałązek najbliższy jałowiec. Chrystusik moją czynność rozumiał tak, jak Chrystusik powinien zrozumieć. - Nudzisz się ze starym, szkrabie? No to chodźmy. - I zaczęliśmy iść. On na przodzie, ja za nim. A szedł powoli, przechylając się na ten bok, gdzie wśród drzew prześwitywało niebo. A szedł ciężko, utykając szcudlasto, wybijając piętami śpiczaste wgłębienia w jeszcze mokrym mchu. Od czasu do czasu przystawał, obciążał na sobie, jak chłop, drewnianą koszulę i pogwizdując na drewnianych palcach skoczego, chociaż z drewna sztajerka, szedł cierpliwie dalej. Kiedyśmy już prawie wychodzili z lasu, zdjął związane rzemienną sznurówką, przewieszane przez ramię trzewiki, usiadł na ściętym pieńku sosny i zaczął je ubierać. Spozrzegłszy moje zdziwienie, wyjaśnił: - Buty mam jedne. Muszę je szanować. Wy też ubieracie buty dopiero przed kościołem. A dla mnie kościół zaczyna się tu - wskazał ręką na ludzi krzątających się w polu. Trzewiki sznurował powoli dziurka za dziurką, ściągając mocno sznurówką twarde, jak spieczony jęzor gorączkującego wołu, juchtowe cholewki. Po zasznurowaniu butów ochwierutał w nich nogi ręką na podbiciu, tupnął kilkakrotnie, przyczesał lewą ręką brodę, a prawą długie, obcięte równo drewniane włosy, splunął i powiedział: - No, teraz możemy iść chociażby do rajcu. - Wyszliśmy z lasu. Obeszliśmy zbyt stromy dla niego piaszczysty pagórek i kierując się na z dala widoczną kościelną wieżę, ruszyliśmy gęsiego. Wtedy odezwała się pod moją, pazuchą podarowana mi kukułka, a słońeczko przechyliło się w stronę gęstniejącego na zachodzie cienia. On spojrzawszy spod dłoni na przelatujące ptaki, powiedział: - W powietrzu iskrzy się kruszonymi kolankami słomy. Będzie pogoda. Powiadasz, że zbliża się wieczór? To nic. Gdzie mamy zdążyć, zdążymy. - I znów szliśmy w milczeniu. Jeśli drogę zastępował nam strumień, brałem Chrystusika na ręce i ostrożnie, jak dzban pełen wody, przenosiłem na drugi brzeg. On mi wtedy dziękował szeptaną zdrowaśką, albo wtykał mi do kieszeni drewnianego karmelka. Kiedy dochodziliśmy do szeroko rozlanego jeziora, zobaczyłem, że z Chrystusika leje się drewniany pot. Ocierał go rękami z twarzy, rozmazując resztki nie dojedzonego miodu. Usta miał spiekłe, na policzkach od upału tęczała minia. Zaproponowałem, żebyśmy usiedli. Zgodził się skwapliwie. Podeszedłem do jeziora. zaczerpnąłem swoją świąteczną czapkę nasyconej wodorostami wody i dałem mu pić. Pił chciwie i

długo. Woda przeciekała mu przez szczelinę w drewnianej brodzie. Wreszcie wyjął twarz z czapki, odsapnął głęboko, mówiąc: - Do tej pory częstowano mnie jedynie octem pomieszanym z żółcią. Dobrze masz serce, pędraku. Żeby ci to jakoś wynagrodzić, przemienię wody tego jeziora na wino. Tylko nie wjeżdżajcie do niego pławić konie. Upiją się i potopiają. Któż za was będzie wtedy robił? - Powiedziawszy to, Chrystusik zaczął chichotać tak głośno, aż podrażnione trzęsieniem drewnianego brzucha i suchych łędźwi, powyłaziły z pachnących dziegciem nerek, korniki. A zagnieżdżona w dziurze pod kolaniem jemiołuszka, wystawiła łebek i zaczęła ćwierkać długo i gderliwie. Chrystusik pogłaskał się po brzuchu i po łędźwiach, poskrobał paznokciami po goleniach, korniki i jemiołuszka uspokoiły się i na powrót, jedne tocząc drewniany sen drewna, druga uciszając rozwrzeszczane pisklęta, powróciły do przeznaczonych im miejsc. A ja dla ochłody wdziawszy jeszcze mokrą czapkę, przypatrywałem się suchemu przelewaniu pogody z zagajnika do zagajnika, z doliny do doliny. Wtedy odezwał się we mnie złodziej. Uczułem to, jak skrobanie pazurkami zmarzniętego śniegu. I miałem ochotę napaść i ograbić Chrystusika z jego chłopskiej świętości. Zatańczyło w mojej głowie słoneczko pomyłonego. I miałem ochotę zmusić Chrystusika do przytupywań, pogwizdów i kołomyjkowego kręcenia się w kółko. Ale już wtedy wydawało mi się, że ograbię siebie, że siebie zmuszę do tańca. Bo już wtedy byłem przeniknięty, niemalże przebity na wylot, jego pomieszanym z powszechnością apostołstwem. Zdawało mi się, że pomiędzy nami rozsuptała się osnowa, na której przedzie się nam wspólne, delikatne płótno. Uciszył się we mnie złodziej, uspokoił pomyłony. Pogłaskałem Chrystusika po drewnianej ręce, podając mu do żucia kilka listków zdziczałego szczawiu. Żuł je powoli, jakby chciał sobie przypomnieć odległy czas, kiedy zapach ziemi był jego pierwszym zapachem. I łącząc nad sobą drewniane ręce, przemienił wody jeziora w wino. I przełamując na kolanie bryłę ziemi, przemienił ją w chleb. Zdjąłem wykrochmaloną koszulę. Położyliśmy na niej chleb, aby się nie rozsypywały okruszyny. Zaczęliśmy jeść powoli i uroczyście. Okruszyny zszypałem na jego drewnianą dłoń. Przeżegnał je i rozsypał naokoło ptakom. Chciało mi się pić. Podszedłem do jeziora, ukląknęłam i opierając się na rękach, przytknąłem twarz do powierzchni wody, aby pić. Woda miała smak żelaza i wina. Piłem chciwie i długo. Kiedy się podniosłem, zawirowała mi w głowie przedwieczorna zieleń pomieszana z prześwietlonym poprzez błękit snem. Powróciłem do Chrystusika z bojaźnią przed jego wymyślną świętością. Usiadłem obok na zadymionej płowym zmierzchem trawie. On zbliżył się do mnie i długo, jak matka przed snem, głaskał mnie po głowie. Uciszyłem się od wewnątrz, uspokoiłem, bo wiedziałem, że on jest tym trzecim dopełnieniem moim. I jakby ktoś nocą zawiesił trzy lampy u strzechy, było we mnie widno po daleki, odbity w moim wnętrzu sad, po zwierzęta szeleszczące za nim i po wody poza nimi uciszone. A Chrystusik podwinąwszy swe drewniane nogi, mówił. Najbliższe nam jezioro, było jego jeziorem. Siedział nad nim i uciszał burzę, gdy z tamtego brzegu służący mu rybacy wyciągali pełne sieci ryb. On

je wybierał z sieci, układał w kosze i rozsyłał do pobliskich chat. A mnie zasypiającemu zdawało się, że jestem dorosły, że jestem jednym, z jego rybaków. Kiedy się przebudziłem z drzemki, Chrystusik śpiewał swoją balladę. Śpiewał ją dla siebie, nie chcąc z delikatności świeckiej, czy też ze skromności apostoelskiej, aby jej ktokolwiek słuchał. Jednak nie przerwał jej po moim przebudzeniu, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że na tyle jesteśmy ze sobą zamienni, iż wysłuchanie przeze mnie jego ballady, będzie tylko dopełnieniem tego, co pomiędzy nami zaistniało. Ballada zaczynała się tak:

Chcę być człowiekiem. Świętość jest cudaczna.
Chcę być człowiekiem. Świętość mieszka w drewnie.
Chcę być człowiekiem. Świętość śpi w kadzidle.
Chcę być człowiekiem. I uprawiać ziemię.
Chcę być człowiekiem. Chodzić na wesela.
Chcę być człowiekiem. Nosić z sobą kozik.
Chcę być człowiekiem. Bić się z parobkami.
Chcę być człowiekiem. Pieścić się z dziewczyną.
Chcę być człowiekiem. I mieć dużo dzieci.
Chcę być człowiekiem. Święci są samotni.
Chcę być człowiekiem. Święci stoją w polu.
Chcę być człowiekiem. Święci jedzą deszcz.
Chcę być człowiekiem. Czesać w stajni konie.
Chcę być człowiekiem. Przesypywać owies.
Chcę być człowiekiem. Rąbać zimą drzewo.
Chcę być człowiekiem. Głaskać ręką psa.
Chcę być człowiekiem. Hodować gołębie.
Chcę być człowiekiem. I wywozić gnój.
Chcę być człowiekiem. Święci czynią cuda.
Chcę być człowiekiem. Świętym nie patrzy się w twarz.
Chcę być człowiekiem. Święci noszą w sobie wieczność.
Chcę być człowiekiem. I chodzić do świętych.
Chcę być człowiekiem. Nosić świętym kwiaty.
Chcę być człowiekiem. Suszyć w słońcu drewno.
Chcę być człowiekiem. Strugać świętych nożem.
Chcę być człowiekiem. Zwierzać świętym siebie.
Chcę być człowiekiem. Umierać na ziemi.

Chrystusik skończył swoją balladę. Uciszyło się jego drewno. Znieruchomiało. Wtedy dopiero poruszyły się zwierzęta. Szły od tej, zagradzanej opłotkami, jasności. W ruch zwierząt wkołysały się trawy, wody przychodziły do siebie w odwiedziny małymi stadami osiczyn. A w Chrystusiku coraz wyraźniej ciemniały huczące drewniane niebiosy. Był martwy. Skończywszy swoją balladę, stał się na powrót wystruganym w roztargnieniu klokiem. Pozbierałem go z ziemi i postawiłem pod najbliższym

drzewem. A wydawało mi się, że ustawiam siebie na to wielkie apostołstwo, obok którego będą przechodzili ludzie, dziękowali za nie zdrowąską, ptasim piórkiem, polnym kwiatkiem. I spodobało mi się takie pomyślenie siebie.

[Spis treści](#)



Polowanie na anioła

A jednak byłem aniołem. Wbrew wszystkim, którzy mnie nazywali bandytą Muchą. I to nie takim aniołem, który wyszedł z lekcji religii pilnować chybotliwych mostków, urwistych leśnych ścieżek i zabłąkanych jagniąt. Byłem aniołem rzeczywistym, przeciwnym aniołem zmyślonym. Oczywiście nie od razu wiedziałem, że mogę nim zostać. Wprawdzie przy odrobinie przekory mogłem podejrzewać, że jeśli wszyscy są przeciwko mnie, jest coś we mnie, czego nie rozumieją i co się im sprzeciwia. Jednak nie na tej podstawie odnalazłem w sobie anioła.

Przez długi czas nie mogłem ustalić mojej obecności w sobie, w domu, wśród rówieśników. Nawet nie byłem w stanie porównać siebie do zwierzęcia, przedmiotu, czy listka. Wprawdzie ilekroć wyciągałem rękę po chleb, zdawało mi się, że chleb podchodzi do mnie, abym go mógł zjeść. Nie byłem jednak pewny, czy moje rozumowanie nie jest wynikiem obserwacji takich samych czynności u moich najbliższych. Przyjmijmy jednak, że w ten sposób zostało zaznaczone moje istnienie wobec chleba. Na tej samej zasadzie zaznaczałem swoje istnienie wobec wszystkich rzeczy poruszających się wokół mnie i leżących przy mnie. Ale swojego istnienia wydzielonego spośród tych wszystkich rzeczy nie mogłem w żaden sposób zrozumieć. Tak jak nie mogłem zrozumieć, dlaczego słowo kapusta oznacza główkę kapusty. Dlatego też zawsze brałem żywszy udział w życiu rówieśników, niż w swoim własnym. Życie we mnie przepływało niezauważalnie. Gdy myślałem o tym, nie byłem w stanie odkryć w sobie żadnych śladów, po których mógłbym rozpoznać, że poprzedniego dnia biłem się z rówieśnikami do krwi, utopiłem w sadzawce szczenięta, czy też podpaliłem wypróchniałą wierzbę. I to nie dlatego, żebym nie potrafił znaleźć przyczyn, dlaczego tak postąpiłem. Zdaje mi się, że wszystko istniało dla mnie tylko jednorazowo, w danym momencie. Natomiast utrwalonym we mnie obrazom moich uczynków nie potrafiłbym nadać tej mocy, jaką posiadały w rzeczywistości. Stąd też obraz samego siebie widziany przelotnie w lustrze, czy też w rzece zamazywał się w mojej pamięci natychmiast, kiedy odstępiałem od lustra i od rzeki. Poza tym istniała we mnie bojaźń przed samym sobą. Bałem się o siebie myśleć jako o kimś stałym, niezbędnym z tym wszystkim, co we mnie jest potrzebnego ludziom. Jeszcze bardziej lękałem się myśleć o sobie jako o istocie ustawicznie się zmieniającej. Wtedy wydawało mi się, że w każdej chwili jestem kimś innym.

Wolałem więc nie ustalać siebie ani tak, ani tak. Byłem dla siebie czymś przewiewnym, przez co wszyscy mogli przejść ze spokojem, że ich wprawdzie zauważę, ale nie zatrzymam kłopotliwym pytaniem. Przeto pytałem ustawicznie samego siebie o siebie. Nigdy jednak nie odpowiadałem sobie. Trzeba było dopiero, aby wszyscy byli przeciwko mnie. Wtedy na przekór im stałem się aniołem. I jestem nim, chociaż wszyscy uważają mnie za bandytę Muchę. Zresztą nie dziwię się im, że mnie za takiego uważają. Nie mogę natomiast pojąć, dlaczego nie przyjdzie im na myśl, że bandyta Mucha może mieć też swojego anioła. Nawet na pewno go ma. W przeciwnym razie nie miałbym go od kogo wypożyczyć. Proboszcz nie zgodziłby się na to, a jest również wątpliwe, czy najlepszy z moich rówieśników wypożyczyłby mi go na parę dni. Jeśli chodzi o anioła bandyty Muchy, to nie był on podobny ani do tego anioła, który wisi nad zakrystią, ani tym bardziej do tego, który Janowi Ewangeliście wkłada, gołębicę do rozchylonej piersi. Dla mnie jednak był aniołem. Wziąłem go więc od bandyty Muchy ze wszystkimi jego przyzwyczajeniami, których mu nie poskąpił zbój. A wziąłem go dlatego, że wszyscy byli przeciwko mnie. Jestem więc aniołem. Widzę siebie obok siebie. Teraz dopiero wiem, że jestem. Moja twarz niepewna, ciągle przede mną zamazana, spogląda teraz na mnie wyraźnie i serdecznie. Jestem wprawdzie nadal taki sam, jak przedtem, kiedy nie mogłem sobie wyobrazić siebie dla siebie, ale to mnie już nie martwi. Wiem, że jestem aniołem. A jako anioł będę mógł niewidzialnie przenosić się z miejsca na miejsce. Nocą będę wchodził do wszystkich sadów. Rwał będę pełnymi garściami owoce. Będę ich miał, ile zapragnę. Pełne zanadrza. Zsypywał je będę do siana. Całe siano w stodole pachnieć będzie zalęgniętymi gruszkami i jabłkami. I tak rzeczywiście było. Z każdego kąta stodoły wysypywały się rozpogodzone aż do pestkowego wnętrza jabłka.

Pod zimę zacząłem chodzić na wesela. Przesiadywałem całymi godzinami w basetli, aby z niej wyskoczyć, kiedy któryś z parobków wyciągał nóż zza cholewy. Tłukłem wtedy zawieszoną u powały lampę i uciekałem przez okno. Poza sobą słyszałem, jak trzeszczą wszystkie okoliczne opłotki. Przesiadywałem też od rana we wnętrzu wypróchniałej wierzby. A kiedy obok mnie nad stawem przejeżdżał handlujący mąką Żyd, w szprychy bryczki wsadzałem kołek. I nie zdarzyło się, aby bryczka straciwszy równowagę nie zjeżdżała z wysokiego brzegu stawu do wody. Wtedy gwizdząc przeraźliwie na palcach wskakiwałem z powrotem do dziupli, gdzie na podkurczonych nogach podciągałem się aż po koronę wierzbową i chichocząc nasłuchiwałem przekleństw Żyda. A jeśli się zbiegali z pobliskiej karczmy chłopcy i zaczęli przeszukiwać wierzbowy las, odjeżdżałem na wierzbie, jak na zielonym osiołku do domu. Tu nadal chichocząc, klękałem na okutej skrzyni przywiezionej w pijackim zapomnieniu z Ameryki przez dziadka. Odmawiałem pacierz, modląc się żarliwie, aby tylko wszystka mąka w workach przemokła do cna. Ale szczególnie lubiłem się przechadzać w obłoku trocin i ostrużyn, kiedy tracze piłowali belki na stragarzę, a cieśle ociosywali dębowe pnie na

przyciesie. I nie zdarzyło się, abym idąc niewidocznie w obłoku trocin, nie potracił toporka cieśli. Wtedy cieśla zamiast w drzewo trafiał całym ostrzem w nogę. Wtedy co prędzej biegłem za wieś, aby widzieć, jak na furce wyścielonej pierzyną, podskakującej na polnej drodze wiozą do szpitala wrzeszczącego kalekę. Moja uciecha nie miała jednak granic, kiedy ze szpitala przywożono kulasa. Przychodziłem do niego prosząc niby to litościwie, aby mi pokazał jak mu zreperowali nogę. Jeśli zamiast nogi odsłaniał spod nogawki drewnianą kulę, kiwałem z politowaniem głową. Ale natychmiast udawałem, że mi się chce pić. Kaleka chcąc pokazać, że i na drewnianej nodze można przejść kawał świata, szedł do studni z wiaderkiem i z blaszanym garnuszkiem. A ja patrząc na jego chód przypominający chód rozbitej gęsi, przysięgałem sobie, że przynajmniej dwa razy do roku postaram się o podobne wypadki.

Bywałem również nieodłącznym uczestnikiem wszystkich pożarów na wsi. Rozkołysywałem wtedy nieruchome topole rosnące wzdłuż domu tak, aby wiatr ściągnął ogień na stajnię i stodołę. Jeśli mi się to udało i stajnia, i stodoła płonęły, jak wiecheć umazanej w smole słomy, wskakiwałem na zastodolne osiki i drząc cały z podniecenia, skierowywałem snopki iskier na sąsiednie zabudowania. I tak bez ustanku. Zmęczony, ale radośnie zadowolony z siebie, ustawałem dopiero wtedy, kiedy przynajmniej jedno skrzydło wsi stało w płomieniach. Wtedy pomagałem drugiemu skrzydłu wsi rozkradać dobytek palących się sąsiadów.

Nie lubiłem natomiast, kiedy umierały małe dzieci. A umierały często i to z byle powodu. Zdarzało się, że dopiero onegdaj widziałem berbecia wążącego na grubą łodygę słonecznika, aby zerwać jego żółty talerz pełen smakowitego jedzenia, a już nazajutrz jego rodzice latali po wsi z ćwiartkową flaszeczką, aby pożyczyć ze dwie łyżki nafty i przepłukać jego owrzodziałe gardło. Na czwarty dzień nieśli go już w zbitej z czterech jesionowych desek trumnie. Deski były spaczne i niedopasowane. Przez szpary trumny widać było gołe zazwyczaj pięty przypominające ubitą w izbie glinę. Ale rodzice nieśli trumnę niemal radośnie. W domu było przecież jeszcze kilkoro rodzeństwa. Ja natomiast bardzo cierpiałem. Nie dlatego, że zmarł mój rówieśnik. I nie dlatego, że jego rodzice grzebali go, jak zdechłego z przejedzenia chomika. Po prostu dlatego, że obok mnie w kilka dni po śmierci malucha zjawiał się jego anioł. Tych aniołów przybywało zresztą z każdym dniem coraz więcej. Byli niepodobni do mnie. W wiklinowych koszykach, w parcianych workach zawieszonych na plecach nosili spięte małą tęczę skrzydła. Niby to przypadkiem sięgali ręką do tyłu i rozwiązywali wstążki tęczy. Skrzydła wysuwały się powoli z koszyków i z worków. Szeleściły przed moimi oczami, jak pawie ogony. Nie znosiłem tych aniołów. Byłem pewny, że skrzydła mają tylko na pokaz. Drażnili mnie też nimi okrutnie. Już chciałem podejść do takiego anioła, aby pogłodzić jego tęczujące skrzydło, a on wtedy podskakiwał na jednej nóżce, przefruwał przez Dunajec i wchodząc w wiklinową wysepkę grał mi stamtąd na trąbce zwiniętych dłoni obraźliwą piosenkę. A ja, siedząc z nogami podwiniętymi pod siebie na piaskowej

ławicy, skręcałem się z nienawiści. Jeśli anioł zbyt długo przeciągał obraźliwą piosenkę, pokazując mi w przerwach dla nabrania tchu długi na łokieć język, zrywałem się z piasku i rzucałem w niego kamieniem. Niestety, Dunajec był zbyt szeroki. Kamień padał zawsze do wody. A anioł widząc to wysilał się w dwóch osób, przygrywając coraz głośniejszymi dłońmi i z uciechy aż podskakiwał razem z wiklinową kępą. Odchodziłem wtedy znad Dunajca wściekły i równocześnie markotny. Przysięgałem sobie, że się okrutnie na tych aniołach zemszczę. Przesiadywałem całymi dniami zagrzebany po uszy w sianie i obmyślałem zemstę. Ponieważ wiedziałem, że aniołowie lubią wczesnym rankiem przychodzić do ogródka sąsiada na maliny, doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli obok malinowych krzewów zastawię sidła. Zdjąłem ze strychu przygotowane na zimowy połów zajęcy drucziane sidła, wyszedłem nocą przez okno, zakradłem się do ogródka sąsiada i poprzywiązywałem je do malinowych krzewów. Niestety, zmęczony całonocnym zastawianiem sideł, zasnęłam. Gdy się przebudziłem, słońce już wchodziło w wiśniowy sad. A litościwa sąsiadka przez ten czas wyplątała moich skrzydlatych rówieśników z sideł. Na malinowych krzewach błyszcząły tylko powydzierane z ich skrzydeł piórka. Teraz byłem pewny, że nigdy już aniołów nie złowię. Jakoż od tej pory przestali chodzić na maliny do sąsiada. Po ich coraz częściej wywalanych w moją stronę językach wiedziałem, że chodzą gdzieś na dojrzewające wiśnie. Nie wiedziałem jednak gdzie. Zresztą byli już ostrożni. Na pewno drugi raz nie daliby się tak łatwo podejść. A ponieważ domyślali się, że to na nich zastawiałem sidła, dokuczali mi ze zdwojoną siłą. Nie zdarzyło się, abym po burzy idąc do sklepu przez wszystkie kałuże z kilkoma jajkami zawiązanymi w chusteczkę, nie potknął się o ich podłożoną mi nogę. Padałem wtedy w najgłębszą kałużę, rozbijałem jajka i z płaczem wracałem do domu. Oczywiście w domu nie uchodziło mi to też na sucho. Kiedy na przedwiośniu jeździłem na lodowej krze, któryś z nich rzucał dużym wapiennym kamieniem w lód. Kra pękała, a ja wpadałem po uszy do stawu. Gramoliłem się z płaczem na brzeg. Tu zgarniałem z siebie szlam i sitowie i szedłem do stodoły suszyć się. Zagrzebywałem się w siano, posypawszy uprzednio przemoczone buty utartą na miąższość sianką. Buty wysychały, ubranie zaparzone w gorącym sianie parowało na mnie, jak przepocona pierzyna susząca się na słońcu pod sadem, ale ja rozchorowałem się na zapalenie płuc. Leżałem w kuchni obok pieca. Drzwiczki od blachy były uchylone. Całe ciepło pieca było skierowane na moją twarz. Bardzo cierpiałem. Zdawało mi się, że leżę na zwojach kolczastego drutu. Ktoś na moje wyciągnięte ręce kładł ogromną kamienną kulę malowaną w kwiatki jaskru. Była to ziemia. Coraz bardziej ugiwała mi łokcie. Już sięgały postłania, już się rozprostowywały na krzyż. Wtedy traciłem przytomność. Zasypiałem na dnie słomianego kosza, w którym na wiosnę leżały się kurczęta. We śnie aniołowie pełni udanego smutku przychodzili do mnie. Głaskali mnie po głowie, pozwalali nawet pogłodzić się po skrzydłach. Przynosili ze sobą jakiś wywar z ziółek, nacierali mnie psim sadłem, wlewali mi do gardła naftę.

Powolutku przychodziłem do siebie. Otwierałem oczy, wskazywałem drobnym ruchem głowy na bawiącego się kota. Aniołowie rozumieli mnie w lot. Na wyprzódki włązili pod stół, wyciągali stamtąd kota i przynosili mi go do łóżka. Ale kot, czując zapach potu, prychnął, zasłaniał pyszczek łapką i chciał uciekać ode mnie. Trzymałem go w drewnianych rękach. Wtedy drapał mnie do krwi. Musiałem go puścić. Posmutniałem, posmutnieli aniołowie. Siedzieli rzędem na ustawionej obok ściany ławce. Rozmawiali ze sobą, a może się modlili. Pod wieczór wynieśli mnie na rękach do komory. Tu w wysokim cebrzyku, do którego nalali gorącej wody, nakruszyli rumianku, ślazowego kwiatu, skrzypu i podbiału, kapali mnie długo. Wyciągnęli mnie z cebrzyka dopiero wtedy, gdy bezwładny i nieprzytomny zaczynałem otwartymi ustami chleptać wodę. Zawinęli mnie calutkiego w zgrzebne prześcieradło, zanieśli mnie do izby i wsunęli do łóżka nakrywając po oczy pierzyną. Leżałem nieruchomo. A oni siedząc z powrotem na ławie, śpiewali półgłosem godzinki. I trwało to tak przez kilka tygodni. Aniołowie byli już bardzo zmęczeni. Przestali dbać o swój zewnętrzny wygląd. Z wiklinowych koszy i z parcianych worków wyłaziły im skrzydła. Zapominali je zawiązać na wstążeczki tęczy. Ale widziałem, że w ich oczach coraz wyraźniej błękitnieją radosne iskierki. Zacząłem nabierać sił. Przechadzałem się pod sadem od drzewka do drzewka. Dwóch aniołów podtrzymywało mnie pod ręce. Nie mówili do mnie. Ale widać było po ich stawianych z wysoka stopach, dokładnych przedziałkach na głowie i po roślinnych pachnidłach, którymi namaszczeni skrzydła, że są wyraźnie ucieszeni poprawą mojego zdrowia. Kiedy pewnego dnia wlałem sam pod stół po kota i zacząłem się z nim bawić, a kot odwzajemniał moje pieszczoty mrużeniem, wyprowadzili się z naszego domu. Od tej pory nie widziałem ich już nigdy. Podejrzewam, że podobnie jak ja nie chciałem, aby oni umierali i zostawali aniołami, tak samo i oni nie życzyli sobie, abym wszedł pomiędzy nich. Przestałem więc udawać anioła. Nie cieszyło mnie już nic, co ludzie robili. Przechadzałem się pomiędzy nimi nie widząc wcale, co się wśród nich dzieje. Wprawdzie ludzie nadal przezywali mnie bandytą Muchą, ale ja już nie potrącałem ich toporów, nie rozdmuchiwałem pożarów, nie wpychałem ich wozów do stawu. Nie byłem nawet w stanie na ich prośbę zabić oszczenionych zbyt chutliwie psiąt. Zaczęli mnie nazywać dziwakiem. Nie martwiłem się tym zbyt chutliwie psiąt. Zaczęli mnie nazywać dziwakiem. Nie martwiłem się tym zbyt chutliwie psiąt. Zaczęli mnie nazywać dziwakiem. Nie martwiłem się tym zbyt chutliwie psiąt.

[Spis treści](#)



Zabawy

- Tu stali ruscy. A tam stali cesarscy. Ruscy mieli gwintówki, a cesarscy strzelali kulami dum-dum. Taka kulka rozrywała na jasny gwint nogę, a z

brzucha to robiła kretowisko. Tu leżą ruscy. Tam leżą cesarscy. Wy jesteście ruscy. My jesteśmy cesarscy. My zostajemy tu, przy rzeczce. Wy idziecie tam, pod dziki bez. Bitka będzie na kije. My strzelamy z kijów wiklinowych. Wy strzelacie z pałek dzikiego bzu. Brył ani pięści używać nie wolno. □ Jesteśmy szlachta, bijemy się po szlachecku □. Tak powiadał do ojca feldfelbel, kiedy szli na bagnety. I ja do was też tak powiadam. Bijemy się na kije. To będzie po szlachecku.

I słuchaliśmy rudego, jak oskrobana marchewka, Gienka. Bitwę rozpoczynaliśmy od wyzwisk. Później równaliśmy teren kartaczami, to jest dużymi purchawkami, pękającymi od wewnątrz, jak leśna, pachnąca grzybami woda rozbijana garściami szutru. Nie wolno było bez ostrzeżenia używać purchawek zbyt dojrzałych. Ale jeśli nie było innych, zarzucało się na krzak bzowy, czy też wiklinowy białą koszulę i rozpoczynało się przygotowanie gazowego ataku. Wtedy wkładaliśmy na twarze gazowe maski - ogromne liście łopuchów. Gdy któryś z nas, przy pęknięciu pierwszej dojrzałej purchawki, nie zdążył na twarz nałożyć łopuchowego liścia, kładł się na wznak, wywalał na brodę język, wybałuszał oczy - był aż do skończenia bitwy zagazowany. I rzeczywiście, z pękających w ogromnych ilościach purchawek unosił się nad łąką żółty dym, jakby stada krasnoludków rozcierały w palcach żółte główki rumianku.

Ruscy do ataku szli rozciągniętą poziomo tyralierą. Cesarscy natomiast atakowali dwoma półkolami. Bitwy nasze nie trwały długo. Już po kilku minutach my, ruscy, leżeliśmy poszatkwani kulami dum-dum na rozległych kretowiskach łąki. Inna rzecz, że chytry był ten rudy Gienek. Nigdy nie pozwalał nam strzelać z kijów wiklinowych. Ale raz zemściliśmy się na nim okrutnie. Cały nasz ruski oddział wybrał się o świcie do pobliskiego lasu, gdzie nacięliśmy scyzorykami bukowych odziomków, ładnie je zastrugali, okuli grubsze końce metalowymi skuwkami i pochowali, każdy w swoim bzowym krzaczku. A ponieważ zasada była prosta: twardsze drzewo lepiej strzela, wybiliśmy w tym dniu wszystkich cesarskich do nogi. Nawet któryś z nas przypomniał sobie z opowieści ojca, jak to ruscy się chwalili, że czapkami nakryją Kraków, nie omieszkałiśmy poległych cesarskich nakryć suchymi plackami krowiego łajna. Ale tego już było za wiele cesarskim. Ożyli i wtedy pierwszy raz musieliśmy się bić po chłopsku, na bryły i na pięści.

Jeszcze do tej pory wycieram z obrzydzeniem o przydrożne kamienie ręce, gdy sobie przypomnę, co starsi powiadali o tych wiklinowych i z dzikiego bzu zaroślach. Nie bardzo śmiem w to uwierzyć. Ale małoż to jest rzeczy na świecie, o których nawet pomyśleć się nie chce. Przeto jeśli mnie matka ostrzegła, abym się nie ważył z nadrzecznej wikliny wycinać gwizdków, a z łąkowych zarośli dzikiego bzu pukawek, bo w mym gwizdku płacze cysarz, z Widnia, a w pukawce huczy car-batiuszka z Pitra, uwierzyłem. Zresztą nie tylko ja. Uwierzyliśmy wszyscy. Wprawdzie nie wiedzieliśmy, jak pogodzić dawne opowieści z nowymi, ale były to sprawy na pewno zrozumiałe, jeśli rodzice obłaskawili je w sobie. Z dawnych opowieści

wynikało, że czerwone krzewy rokiciny, to słoneczka czarownic, z których te nieszczęsne istoty wyplatały wiklinowe podpłomyki diabłom. A na krzewy dzikiego bzu zaklinały się kobiety przy nadziei, zabierając im kwitnącą biel, a oddając wychodzące z trzech kół ciała (głowy, piersi i brzucha) czarne zło, które pod jesień spełniało się na bzie kiściami fioletu. Jedno jest pewne. Dobrześmy zrobili wierząc w te opowieści. Bo akurat w tym czasie zaczęli jeździć po wsiach handlarze starym żelastwem. Skupowali wszystko, począwszy od przygarści zardzewiałych hufnali, a skończywszy na kieratowym dekle z lanego żelaza. Za trzy ołowiane kartaczowe gałki płacili po jednym groszu, a za mosiężny szczyt szrapnela groszy pięć. Chodziliśmy więc po zaoranych aż po horyzont dworskich polach i szukaliśmy, skiba za skibą, ołowianych gałek. Zabawa była podwójnie zdrożna, bo i popłatna, i chrześcijańska na pewno. Jakoż trzeba wam wiedzieć, że w tym czasie przygotowywaliśmy się do pierwszej komunii. Przystaliśmy się bić, a zaczęliśmy zliczać, jak kto umiał i mógł, swoje grzechy. Ja na przykład kradzież scyzoryka zaznaczyłem sobie odłożeniem do rozbitego garnka kawałka kiełbasy, turbowanie młodszego rodzeństwa paroma cukierkami, oszukiwanie rodziców dwoma przygarściami pieczonego bobu, a podglądanie gołych rówieśnic (a jakże i takie grzechy miałem już na sumieniu) nadgryzionym jabłkiem, które dostałem od handlującego pierzem Żyda. I rzeczywiście, nie przypominam sobie, abym w tym czasie przywiązywał gołębiom do skrzydeł □Ludowy sztandar□, kotom do ogona metalową puszkę napełnioną do połowy grochem. Nie wrzucałem też sąsiadom zgniłych dyni do studni i nie łasowałem z okolicznych sadów zimnych, jak studzienna woda, śliwek. Natomiast oczyściwszy aż po horyzont wszystkie zaorane pola z kartaczowych gałek i sprzedawszy je, kupiłem sobie długą białą wstążkę i wysoką, z obrazkiem świętego Judy Tadeusza pośrodku, świecę. Wstążkę matka zawiązała mi w kokardę i przyszpiliła do lewej piersi. Świecę zapalono mi w kościele. Klęczałem z nią pod gotycko sklepionym prezbiterium kościoła zbudowanego na miejsce starego drewnianego kościółka, rozbitego tysięcznymi kartaczami.

Ze szkoły, po nauce religii, wracałem zawsze długą, zarosłą dziką cykorią, jaskrem i podbiałem, groblą. Grobla, jak ogromne koromysło, łączyła dwa, fioletowe ode dna, stawy. Po południu, kiedy powietrze na wysokości głowy wydawało się wyścielone płonącymi źdźbłami słomy, z dwóch stawów, jakby podniesionych na ogromnym koromyśle grobli, upijały ogromnymi jęzorami - las błękitnie ze stawku pierwszego, a trzcina fioletowo ze stawku drugiego. A ja wewnętrznie oczyszczony, błyszczący, jak wyjęty z piasku sprężynowy nóż, szeptałem zdrowaśki, po pięć za ojca i za matkę, po trzy za młodszego rodzeństwo, a za zmarłego dziadka zmawiałem siedmiokrotne - wieczne odpoczywanie. Potem dochodziłem do wody, zdejmowałem ubranie, wchodziłem na jedyną w tym miejscu wierzbę nachyloną do picia nad stawem, jak rosochaty jelen i skakałem z niej do stawu, jak do glinianej

wigilijnej misy. Woda była niemal roślinnie chłodna i żelazście szorstka, jak tysięczne wieżyczki skrzyphu rozwidlone niziutkimi ganeczkami łodyg. I kąpałem się dopóty, dopóki do stawu nie wchodził na wysokich czaplich nogach zmierzch. Wtedy wydawało mi się, że dno stawu pachnie, jak dębowe dno beczki, z której wypito aż do czerwonych fusów jesienny jabłecznik. Wychodziłem na brzeg przekonany święcie, że woda jest postacią płynnych roślin, a rośliny zwierzętami, których jeszcze nie uczono chodzić. Oczyszczony dwukrotnie, od wewnątrz i na zewnątrz, wskakiwałem w portki zapięte na jeden, wystrugany z wiśniowej gałązki kołeczek i biegłem do domu. Przy moim boku w parcianym chlebaku kłapał turoniową mordą rozluźniony piórnik, dogadywał mu z dna chlebaka nie dojezdzony bób, a poza mną utyłane w gryczanym puchu słoneczko zalewały syczącą wodą pasikoniki. W domu czekał już na mnie rudy Gienek. Połykałem chleb, chleptałem z blaszanego garnuszka mleko i szedłem z nim na błonia grać w pliszkę. Graliśmy dopóty, dopóki pliszka nie zagubiła się w okolicznych wierzbach świecących już, jak rozcięty brzuch barani, tłustym, lekko fioletowym próchnem. Wtedy, nie czekając aż próchno rozdmuchają do jasności niskimi przelotami sowy, umawialiśmy się, że od rana będziemy zbierać roślinki jabłonek, gruszek i jesionów. Była to nasza, trzecia już w tym czasie, zabawa. Wychodziliśmy raniutko, skoro świt, na szosę. Ja szedłem jednym rowem, on drugim. Powolutku, kroczył za kroczeniem, upatrywaliśmy w gęstej trawie rowu roślinek o dwu twardych, jak kurze języki listkach wydzielonych z pestki owocowej i jeszcze przykrytych przed przymrozkiem brunatnymi kaftanikami pestkowej łupiny. Radość nasza była niepomierna, a i zazdrość jeszcze większa, gdy jednemu z nas udało się znaleźć roślinkę bardziej rozwiniętą, z kolorową kitką pomiędzy twardymi płatkami. A chwila, kiedy któryś z nas znalazł małe drzewko owocowe, roczne lub dwuroczne, z liśćmi rozwijającymi się z różowo-fioletowych trąbek, była długo obnoszona po wszystkich gniazdach w dworskich stogach, w których przechowywaliśmy ziemniaki do pieczenia, zeprzałą rzepę i gdzie ścigaliśmy obłaskawione psy, iskając je z lubością i z zapamiętaniem z pcheł. Może radość nasza nie byłaby tak wielka, gdybyśmy nie uwierzyli starszym, że roślinki wyrastają z pestek wyplutych przez archaniołów jedzących pod jesień na wysokości ogrodów ociekające winnym sokiem owoce. Z tego faktu w prosty sposób wykombinowaliśmy sobie, że wystarczy pozbierać wyrosłe z archanielskich ogryzków roślinki, a za lat kilkanaście dochowamy się rajskiego ogrodu. Roślinki wykopywaliśmy z ziemi kozikami. Układaliśmy je w czapce i przynosiliśmy je do domu, gdzie w miejscu wydzielonym z ogródka, ogrodzonym niziutkim płotkiem z okorowanej wikliny, sadziliśmy je ostrożnie. Codziennie koło południa podlewaliśmy je zebraną z deszczu wodą podgrzaną na słońcu. Roślinki w większości wymierały. Jednakowoż te, które ocalały, rosły nad podziw szybko. Siadywaliśmy wtedy na przewróconym dnem do góry cebrzyku, marząc o tej chwili, kiedy z nich wyrośnie sad. Nie były to rozmowy błahe. Ustaliliśmy przecież, że będą to rajskie ogrody. Chcieliśmy w dwójkę

przywrócić ludziom z powrotem tak lekkomyślnie utracony raj. Z tego też powodu byliśmy czyści, niemal święci. Co niedzielę chodziliśmy do komunii, przestaliśmy się bić, nie kąpaliśmy się całymi tygodniami nie chcąc oglądać nagości naszych rówieśnic. Nawet koledzy przezwali nas, mnie świętym Janem apostołem, a rudego Gienka świętym Witem. A to chyba dlatego, że był rudy jak wiosenny sad prześwitujący poprzez korę szumiącą wewnątrz pni tajemniczą bielą. Nie umieliśmy tylko rozwiązać trzech rzeczy. Wydawało się nam niegodziwe i niezgodnie z Biblią posiadanie dwóch rajskich ogrodów. Szybko jednak wykombinowaliśmy, że któryś z nas rozmnoży sobie gołębie, wyćwiczy je, a one będą codziennie przelatywać z jednego do drugiego sadu, łącząc je gruchaniem. Drugi problem był istotniejszy. Wiadomo nam było, że w ogrodzie rajskim była Ewa. Bez Ewy rajski ogród byłby czymś pospolitym, niemalże świeckim. Przeto uradziliśmy, że któryś z nas się zakocha i wprowadzi pod kwitnący sad niewiastę. Nie mogliśmy jednak dojść do zgody, który z nas ma to uczynić. Zaczęliśmy wróżyć z korony stokrótki. Wypadło na mnie. I dobrze się stało, bo już od dłuższego czasu podobała mi się moja rówieśnica z naprzeciwka. Ale od tej pory podobała mi się w dwójnasób. Jeśli uprzednio moją czułość dla niej wyrażałem szczypiąc ją w pośladki, teraz znosiłem jej kolorowe piórka sójek, obcinałem dla niej co większe guziki z ojcowskiego kożucha, w szkole zastrugiwałem jej ołówki, a w chwilach najczulszych pociągałem ją za warkoczek. I muszę powiedzieć, że odwzajemniała mi się serdecznie. Rzuciła we mnie osmykniętą kłasią owsa, wsypywała mi pod drewniany pulpit ławki garść pieczonego bobu, a raz nawet dała mi ugryźć czerwone, jakby co tylko wysypane z wiosennej zorzy, jabłuszko. Najgorzej jednak było z trzecią kwestią. Skąd wziąć Boga Ojca. Wprawdzie już wiedzieliśmy, że Bóg jest w każdym z nas, ale w tej drugiej, synowskiej postaci. A my chcąc ludziom przywrócić rajski ogród, chcieliśmy ominąć odkupienie. Nie dlatego, żeby się nam nie podobało. Już wtedy byliśmy dostatecznie bici, gdy zagubiliśmy jagnię w cierniowej tarninie. Po prostu nam potrzebny był Bóg najpierwszy, z białą, jak kwitnące drzewko wiśni, brodą. Ale długo nie mogliśmy znaleźć takiego Boga. Dopiero pewnego dnia, kiedy byliśmy na roratach, wszystko się nam wyjaśniło. W kościele w pierwszej ławce siedział potężny, zarośnięty białą brodą, dziadek. Z otwartej, wspartej na drewnianym pulpicie księgi, czytał godzinki. Prawa, babska strona kościoła i lewa, chłopska, powtarzała za nim w żalostliwym zaśpiewie przeczytane słowa. Dziadek wyraźnie się nam spodobał. Uradziliśmy więc, że kiedy sad wyrośnie, poprosimy go, aby został Bogiem Ojcem naszego rajskiego ogrodu, Niestety, w rok później dziadek zmarł na astmę. Wprawdzie w okolicznych wsiach było jeszcze sporo podobnych jemu starców, ale już żaden tak się nam nie widział. Tak więc nasz sad ostał się bez Boga Ojca. Natomiast kiedy w kilka lat później owocowe drzewka w naszym sadzie już wyraźnie wronie przeciągały się do rodzenia, pod sad weszli żołnierze, wtoczyli moździerz i gryząc jabłka, zasiewali kartaczami rozorane aż po horyzont pola.



Staw

Wojna już przeszła przez nasze okolice. Dunajcem spłynęły rozdęte na upale trupy koni. Okoliczne pola i błonia oczyszczono z jaszczy napełnionych kartaczami, z rozbitych armat, wojskowych wozów i brezentowych namiotów. Teraz cała wieś chodziła ubrana w brezentowe, uszyte na półwojskowo uniformy. Ja też miałem na sobie takie ubranie. Było bardzo niewygodne. Gdy się w nim biegło szybciej, wydawało się, że ubranie zostaje za nami, jak uszyty z wilczej skóry cień. Miało jednak tę zaletę, że się nie zdierało tak szybko, jak cajgowe.

Właśnie w takim brezentowym uniformie siedziałem w kucki koło studni, wycinając z kawałka surowej końskiej skóry gązwy do cepów, gdy pomiędzy kępą słoneczników i tyczkowego grochu mignęła mi długo nie widziana, ale przesuwająca się ciągle po mojej pamięci, znajoma postać. Uczułem, jak wewnątrz mnie odzywa się wiosenną kukułka. Pola spłwiałe na upale zajaśniały cudownie obmytą przez deszcze zielenią, jakby w głębi sadu zaśpiewało równocześnie kilkanaście wilg. Zanim się poderwałem z ziemi, byłem już pewien, że to mój ojciec powraca z wojny.

Nie zerwałem się jednak z ziemi. Tuż przed naszym domem był gliniany staw podobny do ogromnej misy napełnionej czystą, bo ustałą w słońcu i w niebie wodą. Ilekroć przechodziłem koło tego stawu, wydawało mi się, że widzę w nim ojca odchodzącego na wojnę. Szedł po piaszczystym dnie stawu z małym zawiniątkiem na plecach. Piasek poruszony na dnie stawu zasypywał ślady jego stóp. Podnosił się coraz wyżej. Był tuż pod powierzchnią stawu podobny teraz do złotego obłoku. W ten obłok wchodził mój ojciec.

Wydawało mi się przez chwilę, że to ze stawu wychodzi mój ojciec ubrany w ten złotawy obłok, w który wszedł przed miesiącem. Chciałem biec do niego. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że biegnę do ojca. Czułem, jak koło mnie przelatuje powietrze podobne do rozgrzanego piasku. Siedziałem jednak nadal. I nie ruszylibym się nawet wtedy, gdyby mnie ktoś z całych sił zdzielił pięścią w kark.

Wielokrotnie do najdrobniejszego szczegółu obmyślałem moje powitanie z powracającym ojcem, byłem więc przekonany, że już od dawna idę koło niego, dźwigam jego wojskowy plecak i co chwilę patrząc na jego szczupłą twarz, potykam się o zarośnięte trawą krecie kopce. A wtedy ojciec ujął mnie za kark i prowadził do naszego domu z wojny, na której byłem razem z nim. Bo to nieprawda, że ja pozostałem w domu. Szedłem razem z nim przez wszystkie wzgórza Podkarpacia, niosłem jego bagnet, do jego juchtowych butów wkładałem puchowe wyściółki, przepierałem w Sanie jego przepoczone onuce i suszyłem je na wierzbowych gałązkach. A on mnie przenosił przez

sięgające mi po brodę potoki, przez domy co tylko wypalone, przez sady objedzone do ostatniej śliwki i zarośnięte lebiodą i pokrzywą. I oto teraz obydwaj powracaliśmy do domu.

Szliśmy po dnie stawu pachnącego wczesnojesiennym sianem, dębową beczką pełną kiszonych śliwek i smołą topioną na wiórkowym ogniu. Na dno stawu z nas osypywał się piasek, ze skóry naszej ściekał pot przesycony zapachem koni, prochu, dogasającego ognia. Szliśmy wprost na te słoneczniki widoczne w uchyleniu między naszym domem i sadem. Za tymi słonecznikami był Dunajec. W nim kąpaliśmy się przez całe lato. Nawet wtedy, gdy z tym papierkiem przyszedł listonosz i wprost z wody wywołał ojca.

Nadal jednak nie ruszyłem się z miejsca. Do ojca podbiegłem dopiero wtedy, kiedy zawołał na mnie po imieniu. Wziął mnie na wolne od plecaka ramię i tak obydwaj weszliśmy do domu.

A matka przerażona z radości stała obok kuchni. Patrzyła na ojca, jakby co tylko wyszedł z jej porannego snu. Ale ojciec podszedł do niej, wyjął z jej rąk warzachew i pocałował ją w usta. Dopiero wtedy matka zapłakała. Ojciec jej nie uciszał. Wiedział, że matka płacze zawsze wtedy, kiedy w coś uwierzy. Zdjął z ramienia plecak i położył go koło stołu. Na stół rzucił wyjęty z kieszeni metalowy scyzoryk i paczkę machorkowych. Nie usiadł jednak na swoim ulubionym miejscu koło okna. Usiadł na krześle ustawionym na środku izby na wprost drzwi. Widocznie chciał od razu, bez odwracania głowy, zobaczyć pozostałe dzieci. Jakoż siostry i młodszy brat mieli wrócić znad Dunajca, gdzie rwali trawę dla bydła.

Ojciec siedział nieporuszony. Widocznie nie dowierzał matce i mnie, żeśmy jego dzieci upilnowali od utonięcia w rzece, od przejechania przez wóz, czy też od pożaru. Dopiero wtedy, kiedy dzieci wtuliły się w jego przesycone machorką i potem ubranie, wstał z krzesła i zaczął wyjmować z plecaka kielbasę i komiśny chleb. Kielbasę i chleb ciął na kawałki metalowym scyzorykiem. Kielbasa i chleb miały taki sam zapach i smak, jak te, które nam ojciec przywoził z jarmarku. I mimo że przed chwilą wydawało mi się, że wraz z ojcem schodziłem całe Podkarpacie, teraz skłonny byłem uwierzyć, że ojciec co tylko powrócił z pobliskiego targowego miasteczka. Wydawało mi się, że w tym miasteczku miejscowi złodzieje okradli ojca z pieniędzy uzyskanych za sprzedane rzeźni bekony, a on z żalu po tak bolesnej stracie zapomniał się i za resztę ocalałych groszaków kupił nam hojniej niż zwykle kielbasy i komiśnego chleba.

Gdzieś pod zmierzch zaczęli się do naszego domu schodzić sąsiedzi. Siedzieli na ławce ustawionej koło północnej ściany, skręcali papierosy z samosiejki i prawie nie rozmawiali z ojcem. Wydawało mi się to dziwne i podejrzane. Przecież dawniej, kiedy przychodzili do nas wieczorami, prawie do północy nasz dom huczał od ich śmiechu. Widać ojca naprawdę okradziono, skoro oni milczeniem czcili jego powrót.

Kiedy sąsiedzi wyszli z naszego domu, ojciec poprosił matkę, aby mu nagotowała wody do kąpieli. Okazało się jednak, że w naszym domu nie ma

ani wiadra, ani większego naczynia do czerpania wody. Wszystko zabrali przejeżdżający przez naszą wieś żołnierze. Nie pozostało nic innego, jak wykąpać się w pobliskim stawie. Wprawdzie była już jesień, ale woda nagrzana przez dzień nie utraciła jeszcze ciepła. Na wszelki wypadek matka zabrała przyniesiony przez ojca wojskowy koc i poszliśmy z ojcem nad staw.

Była widna, prawie wyzłocona dojrzewającymi słonecznikami noc. Piaszczyste dno stawu, jakby wyścielone bielonym lnem, nie świeciło wprawdzie, ale ojciec mógł wejść do wody bez obawy, że go stracimy z oczu. Ojciec szybko się rozebrał. Wchodził do stawu ostrożnie. Szedł wprost do północnej gwiazdy stojącej w środku stawu. Pod tą gwiazdą zaczął się dopiero kąpać. Prychał, bił nogami o wodę, zanurzał się aż do piaszczystego dna. Północna gwiazda rozpryskiwała się, wsiąkała w piasek. Gdy ojciec wyskakiwał z wody i zaczynał się myć, schodziła się tuż pod jego ręką. Nad nim, tuż nad jego głową, stała ta prawdziwa, nieruchoma gwiazda.

Kiedy ojciec wyszedł ze stawu, miał skórę pomarszczoną i zzieleniałą od chłodu jak zimowe jabłko. Zarzuciliśmy na niego wojskowy koc. I ojciec truchcikiem pobiegł do domu. Wlaź pod pierzynę i zanim się spostrzeżliśmy, żle okitowane w drewnianych ramach szyby, drżały od jego chrapania.

Uplłynęło kilka dni. Prawie codziennie wracali z wojny nasi sąsiedzi. Jeszcze później już nikt nie powracał, chociaż w niektórych domach nawet nocą były uchylone drzwi. Dnie stawały się coraz krótsze. W nocy pod sadami zjawiały się niespodzianie wygwieżdżone przymrozki. Była to pora wypasania na ścierniówkach i trzecich koniczynach drabiniastych od jesiennej pracy koni. Razem z rówieśnikami wyjeżdżałem na naszej szkapie o zmierzchu, a powracałem z wypasu sporo po północy. Na pastwiskach przytuleni do siebie opowiadaliśmy o strachach pojawiających się pomiędzy opłotkami białym psem cuchnącym siarką, choinką skaczącą od lasu na koguciej nodze i ślepym koniem wchodzącym po kalenicy domu do skośnookiego nowiu.

Pewnej nocy, kiedy do domu powracałem z wypasu trochę wcześniej niż zwykle, bo chwycił silniejszy przymrozek, zauważyłem nagle, jak ze stawu wychodzą pojedynczo w pełnym bojowym rynsztunku żołnierze. Ci, co już wyszli ze stawu, szli pod nasz sad, gdzie się ustawiali w odmierzone defiladowym sznurkiem czwórki. Na końcu ze stawu wyszedł brzęcząc szablą młodziutki oficer. Wszedł pod sad. Stał na czele ustawionej pod sadem kolumny, wyjął z pochwy szablę, podniósł ją nad głowę i żołnierze w milczeniu odmaszerowali defiladowym krokiem w podbity światłem pełni osikowy zagajnik. Widziałem jeszcze, jak wychodzą z lasu, skręcają koło stawu i wchodzą na powiatową drogę. Na zakręcie drogi mignęła mi jeszcze oficerska szabla. Po chwili całą żołnierską kolumnę zasypał mrok. Siedziałem nieporuszony na osadzonym w miejscu koniu. Przecierałem ze zdumienia oczy. Wydawało mi się, że na chwilę zasnąłem z przemęczenia. Pomyślawszy jeszcze, byłem niemal pewny, że zasnąłem rzeczywiście, a żołnierze, których widziałem wychodzących ze stawu, byli sennym widziadłem. Uspokojony tym rozumowaniem podjechałem pod stajnię. Zsiadłem z konia, wprowadziłem go

do wydzielonej deskami stajennej przegródki, wyjąłem mu z pyska werbliki, przywiązałem go do żłobu, rzuciłem mu za drabinkę naręczce siana i poszedłem spać. Zasnąłem natychmiast, nie myśląc o widzianym przed chwilą zjawisku. Nazajutrz z tego, co widziałem ubiegłej nocy, nie zwierzyłem się ani ojcu, ani rówieśnikom. Bałem się, że tak ojciec jak i moi rówieśnicy wyśmieją mnie i wyszydzą.

Ale kiedy w zbliżający się zmrok miałem znowu odjechać na wypas, moje serce napełniło się lękiem. Na łąkach nie siedziałem już z dala od ogniska, kiedy moi koledzy zaczęli opowiadać o nocnych dziwadłach. I szczerzej niż uprzedniej nocy otulałem się wojskowym kocem, aby nie słyszeć, jak nad nami przelatują sowy, w wyschniętej trawie szeleszczą polne myszy i jak w dalekiej wsi dudni drewniany bęben psiego wycia. Kiedy powracaliśmy z wypasu do domu, poprosiłem syna naszych najbliższych sąsiadów, aby jechał razem ze mną. Zgodził się, choć do tej pory wracał do domu na ukos przez pola.

Gdy podjeżdżaliśmy pod nasz dom, byłem coraz bardziej niespokojny. Jakoż już przez uchylenie między wierzbami zauważyłem, jak ze stawu wyjeżdżają na białych koniach ułani. Kiedy nasze konie, czując dolatujący do ich nozdrzy bratni zapach, stanęły nagle w miejscu, mój rówieśnik przebudzony z drzemki spojrzął w rozchylenie między wierzbami. Krzyknął z przerażenia. Teraz obydwaj patrzyliśmy na wyjeżdżających ze stawu ułanów. Wyjeżdżali pojedynczo. Najpierw nad wodą ukazywał się koński łeb, później ułańska lanca z chorągiewką, rogatywka i reszta ułana i konia. Podobnie jak uprzedniej nocy piechota, ułani wjeżdżali pod nasz sad, gdzie ustawiali się w czwórki. Również tym razem ze stawu ostatni wyjechał oficer. W odróżnieniu od ułanów siedział na bułanku. Oficer wyjechał na czoło ustawionego pod sadem szwadronu. Wyjął szablę. Ułani pochylili lance i najpierw stępa, później klusem poczęli odjeżdżać tą samą drogą, którą uprzedniej nocy odeszła piechota. Kiedy noc pochłonęła skrzywienie popręgów u siodeł, granie końskich śledzion, ciche końskie chrapanie, mniejsze światełka u lanc i większe na oficerskiej szabli, popatrzyliśmy z rówieśnikami na siebie. I galopując między opłotkami odjechaliśmy do domów.

Nazajutrz o tym, co widziałem, opowiedziałem ojcu. Również ojciec mojego rówieśnika musiał się o tym niezwykłym zjawisku dowiedzieć, bo przyszedł do nas. Sąsiad z moim ojcem poszli do sąsiedniej izby. Powrócili stamtąd śmiejąc się serdecznie. Poprzez śmiech zakazali mi pod karą pocięgła opowiadać komukolwiek o tym, co widziałem uprzednich nocy.

Gdy sąsiad wyszedł od nas, ojciec zakazał mi tej nocy i następnych wyjeżdżać na wypas. Byłem nawet rad z tego zakazu, chociaż ciągnęło mnie bardzo do rówieśników. Chciałem się przed nimi pochwalić cudowną nowiną. Z drugiej jednak strony bałem się ojca i samotnego powrotu z wypasu. Siedziałem więc na przypiecku i czekałem, co się stanie.

Nadszedł wieczór. Moje młodsze rodzeństwo poszło spać. Ja też ułożyłem się pod baranią skórą na skleconym z desek zapieckowym wyrku.

Ale tylko udawałem, że śpię. Ojciec siedział przy skręconej do błękitnej łymy naftowej lampie i ciął brzytwą grube liście machorki. Od czasu do czasu spoglądał w okno wychodzące wprost na staw. Gdzieś koło północy zobaczyłem, jak mój ojciec poderwał się z krzesła. ociągnął czapkę wiszącą na wbitym do ściany bronnym gwoździu i wypadł na ganek. Zeskoczyłem z pieca. Ze środka izby patrzyłem w okno wychodzące na staw. Ze stawu, podobnie jak pierwszej nocy, wychodzili pojedynczo żołnierze. Kiedy na gliniastym brzegu stanął w wysokich butach oficer i zaczął wyciągać szablę, usłyszałem, jak ojciec krzyknął: Hasło! Oficer jak porażony odwrócił się w stronę ojca i odpowiedział: Berlin! - Widziałem, jak ojciec salutuje. Oficer wypiął się na baczność, podniósł szablę na wysokość ust, przyciskając jej rękojeść do brzucha. I tak przez chwilę stał nad tym stawem prawie że świecącym, jak ogromna naftowa lampa. Potem defiladowym krokiem wszedł pod wierzby. W ich cieniu doszedł do żołnierzy ustawionych pod wybielonym od przymrozku sadem. Tym razem kolumna piechoty odchodziła spod naszego sadu śpiewając □Gdy naród do boju□. A ojciec jeszcze długo, choć już dawno nie dolatywał śpiew, stał na ganku. Powrócił do izby dopiero wtedy, kiedy pies przebudzony w budzie, zaczął głucho wyć.

Skoro świt ojciec zerwał się z łóżka i poszedł do sąsiada. Już dawno minęło południe, a on ciągle nie wracał. Dopiero pod wieczór przyszedł do domu razem z sąsiadem. Siedzieli obydwoj koło okna wychodzącego na staw. Skręcali papierosy i milczek. W domu podobnie jak uprzedniej nocy było cichuteńko. Matka i moje rodzeństwo spali od dawna. Od czasu do czasu moja młodsza siostra przewracała się na wznak, a wtedy słyszałem, jak pogwizduje przebudzony w jej gardle mysikrólik.

I podobnie jak uprzednio, koło północy, ojciec z sąsiadem zerwali się z krzesel. Widocznie byli już przygotowani na zjawienie się żołnierzy, bo siedzieli przez cały czas w czapkach. Wybiegli na ganek. Zeskoczyłem z pieca. Ze stawu wyjeżdżali na koniach ułani. Tym razem mój sąsiad, zawołany ułan, krzyknął: Hasło! - Wyjeżdżający ze stawu oficer drgnął, odwrócił się na siodle i odwrzasnął: Somosierra! - Widziałem, jak nasz sąsiad podniósł dwa palce do czapki. Oficer wyjął szablę i odsalutował. Potem odjechał do ustawionych pod sadem ułanów. Wydał rozkaz i ułani odjeżdżali spod naszego sadu śpiewając: □Wojenko, wojenko□.

Ojciec z sąsiadem stali jeszcze długo na ganku. Już dawno ucichł tętent kopyt, skrzypienie siodeł, zgasło światło na szabli oficera i światełka na lancach ułanów, a oni jeszcze nie dopalili trzeciego papierosa. Rozeszli się do domów prawie nad ranem.

Po wielu dniach okazało się, że żołnierze wychodzą ze stawu w nocie nieparzyste, a ułani w nocie parzyste. A wyjeżdżali i wychodzili regularnie koło północy w opisanym powyżej porządku. Oczywiście o tym niezwykłym zjawisku wiedziała już bez mała cała wieś. Teraz w naszym domu było wiecznie gwarno i tłoczno. Zebrani medytowali całymi godzinami, skąd i dlaczego akurat w tym stawie dzieją się tak niezwykle rzeczy. Obydwaj z

ojcem domyślaliśmy się przyczyny tego cudownego zjawiska. Ale ojciec z pokory, a ja z bojaźni przed ojcem, nie śmieliśmy nikomu powiedzieć o kąpieli w stawie. Bo podejrzewaliśmy, że tu było sedno sprawy. Ojciec po prostu zmył z siebie wszystkie wojenne obrazy, przez jakie przeszedł. A one utopione w stawie poukładały się w kompanię piechoty i szwadron kawalerii.

A nasi sąsiedzi kłócili się coraz zagorzalej. Jednym bardziej podobała się piechota mająca hasło □Berlin!□, drugim ułani o hasle □Somosierra!□ Po dwu miesiącach doszło do tego, że część naszych sąsiadów przychodziła tylko w nocie nieparzyste, a część w nocie parzyste. Nawet mój ojciec, niejako właściciel tego stawu, przesypiał coraz częściej nocie parzyste. Te kłótnie, początkowo niewinne, rozpały się coraz bardziej. Zaczęto w nie mieszać nawet dorastające dzieci. Zwolennicy ułanów przychodzili czerpać wodę ze stawu w dni parzyste, a zwolennicy piechoty w dni nieparzyste. Wodę, o tej porze roku oczyszczoną przez mróz i zaczynający prószyc śnieg, pili z namaszczeniem, przeżegnawszy się uprzednio. Dawali ją również do picia swoim dzieciom. Kiedy syn naszego sąsiada z dziecięcej ciekawości napił się u nas wody naczepanej w dzień nieparzysty, dostał od ojca lanie i natychmiast musiał iść do spowiedzi.

Pewnego dnia otoczyli nasz dom Niemcy. Okazało się, że ktoś wydał ojca. Niemcy wbiegli do naszego domu wrzeszcząc, aby im pokazać ten staw z przebudzonymi w nim rycerzami. Jakoż padający od tygodnia śnieg zrównał całą okolicę z jej małymi pagórkami, z wierzbowymi zagajnikami, w rozciągniętą aż do lasu równinę. Ojca na całe szczęście nie było w domu. Akurat wyjechał do lasu po drzewo. Niemcy pobili moją matkę, wyprowadzili nas pod sad, oblali dom benzyną i podpalili. Spędzonym z całej wsi ludziom kazali rozbić lód na stawie. Do parującego obnażonego stawu wrzucili kilka wiązek granatów.

Ale gdy Niemcy odjechali, gdy się na wsi trochę uspokoiło, okazało się, że nocami ten i ów widział żołnierzy wołających: Berlin! - i ułanów wołających; Somosierra! - Ale nie byli to już żołnierze ze stawu.

[Spis treści](#)



Mojesz

Wygrzebaliśmy go z resztek zimowego siana. Był wystraszony, jak mysz, której przydepnięto wlot do gniazda. A znał nas przecież. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Siedzieliśmy nawet w jednej ławce. Często przychodziłem do jego domu stojącego na glinianym pagórku, kupowałem funt koziego łoju i paczkę fajkowego tytoniu dla ojca. On pod jesień, gdy na leśnych łąkach pasaliśmy bydło, przychodził do nas ogrzać się przy ognisku, zjeść pieczonego w iskrzącym się popiele, przerzucanego z ręki do ręki ziemniaka.

Pewnego dnia nawet uradziliśmy, że za wszystkie groszaki, które zbieraliśmy na odpustowe gwizdki i pukawki, kupimy u zdziczałej, mieszkającej poza wsią staruszki chudego koguta i ugotujemy go w glinianym garnku. Ja miałem przynieść sól i bobkowe liście, a Mojżesz cebulę i parę ziarenek indyjskiego pieprzu. Nic jednak z tego nie wyszło. Któremuś z nas oswojona kawka powybierała ze schowka ciułane na odpust pieniądze. Wtedy to Mojżesz przyniósł nam po kawałku pieczonej koźliny. Jedliśmy ją dziwiąc się, że ten najbogatszy spośród nas chłopak, ubrany w czarne, na drabinkowych szelkach spadnie, w ciepłą kurtkę z barankowym kołnierzem, chce wejść między nas i na stałe uprosić przy jesiennym ognisku przyjacielskie miejsce. I przyjęliśmy go pomiędzy siebie jak bezradne szczenię, gramolące się na oślepie do ciepłego rękawa baraniego kożucha. I chociaż nie umiał tak jak my trafić od pierwszego uderzenia w palantową piłkę, a drewniana pliszka zamiast w przód, zawsze pod jego kijem ulatywała do tyłu, tym bardziej chroniliśmy wśród siebie jego różną od chłopskiej bezradność. Śmieszyło nas tylko jego chodzenie bokiem. Jakoż nie zdarzyło się, aby idąc po zaplątane w tarninie koźlątko, szedł całym ciałem naprzeciw krzewowi. Podchodził do koźlęcia bokiem, jakby się bał spotkać całym sobą z coraz dłuższym o tej porze krzewem, grającym z resztką jesiennego słońca w cieniste domino.

Gorzej natomiast było w szkole. Póki katecheta uczył Biblii, spoglądaliśmy na Mojżesza jak na Abrahama, biblijnego Mojżesza i króla Dawida. Natomiast odkąd zaczęliśmy się uczyć Ewangelii, Mojżesz był jednym z tych, którzy wydali Chrystusa. Wtedy najzłośliwsi z nas wkładali do jego tornistra króliczą albo kurzą żółć, rozlewali na jego zawsze czyste ubranie podebrany ocet i obrzucali go ogryzkami jabłek. Mojżesz płakał i wychodził z klasy.

A teraz stał przed nami w wykrzywionych butach, w starej jubce swego ojca i wygrzebywał drewnianymi palcami źdźbła siana z czupryny. - Ja tu tylko tak. Zaraz sobie pójdę. Ja tu tylko tak. - I stał przed nami z drewnianą kukułką w jednej ręce, a w drugiej zaciskał zeprzały głąb kapusty. Pobiegłem do domu. Kazano mi go przyprowadzić. Posadziłem go przy rozpalonej blasze. Matka dała mu garnuszek gorącego mleka i przylepkę kukurydzianego chleba. O dziwo, jadł powoli, siorbiąc grubą wargą jeszcze wrzące mleko. Moja siostra spostrzegła, że ma wszy. Wtedy matka w saganie, w którym się parzyło ziemniaki dla świń, nagotowała wody, a ponieważ akurat cebrzyk się rozleciał, a balii nigdy w naszym domu nie było, waliśmy wodę do beczki po kapuście, nakruszyliśmy do niej suszonego rumianku i mięty i jak noworodka, wszyscy po trosze, wykąpaliliśmy w niej Mojżesza. Zawszone ubranie matka zwinęła w węzełek, obwiązała kapuścianymi liśćmi, aby się nie spaliło, i wsadziła do rozpalonego aż do pierwszych iskier chlebowego pieca. A wykąpanego, otulonego w zgrzebne prześcieradło Mojżesza zanieśliśmy z bratem do sąsiedzkiej izby, gdzie wsunęliśmy go pod gorącą, jak brzuch krowy, pierzynę. Mojżesz nie spał długo. Krzyczał przez sen, odpędzając od siebie

jakieś dzikie zwierzę. A gdy się przebudził, zanim ktokolwiek się spostrzegł, wyskoczył spod pierzyny i nagusieńki uciekł do ogródka. Stamtąd, spod agrestowego krzewu wyciągnął go mój ojciec. Przyprawdził go do domu, coś mu długo tłumaczył. I od tej pory Mojżesz już pozostał z nami. Na drugi dzień, a była to sobota, ojciec wyjął z kufra zawiniętą w irchową skórę maszynkę do strzyżenia, posadził Mojżesza przy jedynej nie zabitej deszczułkami szybce okna i ostrzygł go do skóry. Teraz Mojżesz był podobny do nas. Chodziliśmy razem nad Dunajec wycinać kozikami grube krzaczki mleczu. Do parcianych worków osmykiwaliśmy drobniutkie listki z wiklinowych krzewów dla młodego konia. A gdy nawycinaliśmy pełny koszyk mleczu, a worki pełne liści szumiały jak obłoki majowych chrabąszczy, strugaliśmy z łyka wiosennej wikliny piszczalki i trąbki. A ponieważ Mojżesz miał zawsze przy sobie drewnianą kukułkę, pohukującą jak prawdziwy ptak, staraliśmy się tak dobrać grubość trąbek i piszczalek, aby na nich można było udawać wilgę, majową przepiórkę, a nawet słowika. A to była już nie lada sztuka. Bo słowiki u nas śpiewają inaczej. Zaczynają pogwizdywać cicho gdzieś w połowie kalinowej witki, potem skacząc coraz wyżej, aż po liść szczytowy, ośpiewują w sobie przeczuwany nów. A słuchającemu obok wydaje się, że to nie słowiki, ale kalinowe krzewy, prac błękitnym sokiem przez zieloną witkę, ośpiewują siebie. A takich kalinowych krzewów u nas nad Dunajcem jest całe zatrzęsienie. Pamiętam, jak pewnego majowego dnia tuż nad samą wodą siedzieliśmy z Mojżeszem zapatrzeni w śpiewający kalinowy krzew.

Mojżesz żuł listek szczawiowy. W kącikach jego ust pojawiła się zieleń. A ponieważ oczy miał zielone, wydawało mi się, że jest takim małym śpiewającym kalinowym krzewem. Zacząłem się uśmiechać. Wiedziałem, że jeśli dłużej będę patrzył na niego, zacznę coraz głośniejsze chichotać. Odwróciłem głowę w stronę rzeki. Tuż przy brzegu żółta jak kobyle mleko wodą płynęli wrzuceni do rzeki rozstrzelani Żydzi. Od czasu do czasu nad wodą błyszcząca naszyta na ich plecach żółta jak wiosenna woda rzeki gwiazda. Bałem się poruszyć. Tam u góry rzeki w tarnowskim getcie byli rodzice Mojżesza.

Ponieważ w domu było ciasno, spałem z Mojżeszem na sianie w stodole. Co tylko zwiezione z łąk czerwcowe siano, pachnące goryczkowe suchym skrzypem deszczu, przesycone sokiem zdziczałego kminku i jakby podbite żółtym mlekiem podbiału, usypiało nas natychmiast. Spaliśmy przytuleni do siebie, jak włożone do czapki oślepte kocięta. Ale pewnej nocy, gdy przez szpary strzechy świecił nów na przestrzał, jakby pozbijano z cieniutkich listewek całe snopki światła, zaczęliśmy rozmawiać. I wydawało się nam, że na pewno tej nocy gdzieś w żydowskim miasteczku, małym jak kapelusz obszarpany z ronda, narodził się drugi biblijny Mojżesz. I gdzieś wewnątrz siebie znów widzieliśmy służącą księżniczki smołującą wiklinowy koszyk. Taki sam jak te, w których się roznosi ryby, chleb i śliwki. Taki sam jak tamte, do których obierano głowy ryb i okruchy zjedzonego chleba. A służąca okruszyny chleba do jeziora wrzuca. I z sitowia łabędź bieluteńki płynie, do

ręki służącej powoli podchodzi. A ona z łabędzia oskubuje puch, wyściela nim koszyk i dziecko ostrożnie, jak gałązkę wiśni, w koszyku umieszcza. A łabędź od brzegu dziobem kosz odciąga i płaczące dziecko skrzydłami kołysze. A wtedy księżniczka za drzewem ukryta do wody podchodzi, golutkie dzieciątko z koszyka wyjmuje i na białych rękach do pałacu niesie. A dworzanie kołyskę na jedwabnych sznurach u powały szykują, drewniane kukułki i żywe turkawki do pałacu znoszą. A król, siwy jak popiół, nad dzieckiem się schyla, palcami zajączka w małym snopku światła u mikowej szybki na ścianie pałacu zmyslnie pokazuje. A królewska żona w sandałowe drewno stopy dziecka ubiera i wszelką wonnością ciało mu namaszcza. I dzieciątko rośnie jak dębczak na wiosnę stojący w strumieniu fosforowej wody. Już jest większy od smyczka weselnej basetli. Już mu nożycami kądziel włosów ścieli, do boku mosiężny mieczyk przypasali. A on, gdy papugi na niego nie wrzeszczą, do zbrojowni wchodzi, wielki łuk brzozowy jak witkę napina. I już jest młodzieńcem. Przy wznoszeniu zamków niewolników pańskich z dwukółki pilnuje. A gdy nikt nie widzi, jak z ojcem, sam na sam z wielkim Bogiem mówi. A Bóg wszelką siłę jego ciała daje. I wrogowie leżą jak zabawki z drutu przez dzieci skręcone. I swój lud wywodzi przez step i przez morze, i nieprzyjacioły na dnie morskim topi.

A Mojżesz jest u nas. Śpimy teraz w stajni. Spadł śnieg. Śpimy w szerokim drewnianym żłobie wyścielonym sianem. Nad nami, jak duże przeżuwające obłoki, kiwają łbami krowy. Często się zdarzało, że wygłodniałe bydło wyskubywało spod nas wiecheć po, wiechciu siano. Wtedy budziliśmy się rano zziębnięci na gołych deskach żłobu. Ale było nam dobrze z nimi. Zwłaszcza wtedy, gdy krowy były najedzone, a na polu od mrozu, jak gliniane naczynia, pękały owocowe drzewka. Krowy kładły na nas swoje duże turoniowe pyski i przeżuwając sobie wiadome tajemnice, ogrzewały nas pachnącymi trawiastym dymem oddechami. I zdawało się nam, że leżymy w betlejemskiej stajence. Nasłuchiwaaliśmy budowanych na pobliskim Dunajcu z kry lodowej dzwonów, sypiącego się ze strzechy, jak z ogromnej kantyczki, wigilijnego śniegu. A w nas, jak w wiosennej trawie sadów, kołędowały od nieba do ziemi wilgi i przepiórki. A może się tylko tak zdawało. Może dookoła nas chodziły szczudlaste turonie, kłapiące wysuszonym drewnem pysków i pijące siarkę z wielkich burz sierpniowych. Bo na wiosnę, kiedy wodne młyny meły coraz więcej zieleni u rzeki, odszedł od nas Mojżesz. Nikt go odtąd nie widział. Jedni powiadali, że go zastrzelono w miasteczku na odpuszcie, kiedy za karmelka chciał sprzedać drewnianą kukułkę. Inni znów mówili, że pijany żandarm wgniótł go w piach butami. Inni jeszcze szeptali, że Mojżeszowi pomieszało się w głowie, nasmołował wiklinowy koszyk, wyścielił go sianem, i wiosłując rękami, w dół rzeki popłynął.

[Spis treści](#)



Przebudzenia

Była zima. Wszyscy aniołowie, którzy mi tak dokuczali, spali teraz razem z borsukami w leśnych norach wyścielonych mchem. Tylko od czasu do czasu wybiegali stamtąd podbielonym zajęczkiem i malinowym gilem. Zostałem sam. Ludzie obchodzili mnie z daleka, jakbym był wiązką kolczastego drutu. Jedynie rodzice głaskali mnie nadal po szesanych na bok włosach. Oni też, chcąc pogodzić mnie z ludźmi, umyślili kształcić mnie na księdza. Nie opierałem się tej ich chłopskiej namiętności. Potajemnie, w mysiej norce serca, byłem rad ich decyzji. Jakoż miło mi było wyobrazić sobie, że gdy będę proboszczem, aniołowie, którzy mi dokuczali będą przychodzić do mojego kościoła na roraty. Będą kolędować od zawieszzonego łańcuchami z mchu sklepienia prezbiterium aż po ostatnią ławkę dla żebraków ustawioną koło chóru. A ponieważ nadal miałem ochotę dokuczyć im setnie, zapędziłbym ich po roratach do kalikowania przy organach, do odkurzania drewnianych i gipsowych świętych.

Kiedy więc pewnego lutowego dnia ojciec wypchał ze stodoły wóz i wymościł go sianem, a matka poskładała na wozie kraciastą pierzynę, worek ziemniaków, olbrzymie koło razowego chleba i pleciony z gałązek wiklinowych koszyk z osełką masła, dwoma suszonymi na sierpniowym słońcu serkami, półkopkiem jaj i kilkoma zeprzałymi jabłkami, nie byłem zdziwiony, że się to tak szybko stało. Opatulono mnie w barani kożuch, szyję obwiązano mi zielonym, szerokim jak olchowy lasek szalem, obuto mnie w komiśne trzewiki, sznurowane kapryśnie prostopadle do kostki, podsadzono na wóz, wgnieciono w wiązkę siana, przeżegnano szeroko i wywieziono do miasta. Jechaliśmy z ojcem. Wyjechawszy z naszych opłotków trzeszczących jeszcze od mrozu, z sadów, w których dwa miesiące temu przebrany za turonia obwazywałem jabłonki słomianymi powrósłami, aby nie utraciły swej błękitnej płodności, znaleźliśmy się na szerokiej, pachnącej końskim nawozem i źdźbłami siana powiatowej drodze. Przez okienko w szalu widziałem przecięty ocienioną bruzdą wypasiony na owsie koński zad. Koń był szeroki i gładki, jak gliniany chlebowy piec. W półmroku parowało z niego ciepło małymi pierzastymi obłokami. Tylko sierść na jego bokach, długa i zzieleniała od wylegiwania się w słomianej podściółce przypominała, że był również karmiony sianem z kwaśnych łąk.

Wyjechawszy za trzecią wieś, zupełnie inną od naszej, bo nie bieloną, a tylko ogaconą zgrabionymi w lasku dębowymi liśćmi i mchem, zorientowałem się, że przed nami i poza nami skrzypi coraz więcej wozów. Zaniepokoiłem się o tyle, że jeśli na tych wozach wiezie się choćby po jednym kandydacie na proboszcza, moi aniołowie będą mieli nie skrępowany niczym wybór i przeniosą się do nich. Wtedy już nie bardzo chciało mi się zostać proboszczem, chociaż ciągnęły mnie w ten świat ogromne śliwkowe sady widziane koło naszej plebanii, sutanna zamiast spodni, pod którą bez

narażania się milicji będę mógł przenosić upolowane zające i kuropatwy, oraz chęć dowiedzenia się, co też ludzie myślą o mnie. Jakoż wyobrażałem sobie, że zanim zostanę proboszczem, nasz ojciec duchowny zemrze, a ja przyjdę na jego miejsce. A wtedy już łatwo mi będzie z ambony przykazać, aby każde z parafian spowiadało się przynajmniej przez rok wyłącznie u mnie. Uspokojony wewnętrznie, jakbym się wykąpał w ogromnym krzewie sierpniowego stawu, z przyjemnością przysłuchiwałem się skrzypieniu jadących wozów. Jedne z nich jechały na kozim beczeniu, drugie na kocim mruczeniu, jeszcze inne pobrzękiwały głośno, jak miedziane talerze na weselnym bębnie. Była to nad wyraz przyjemna, znana mi od dzieciństwa muzyka: Przy tej muzyce zapominało się, że jedziemy do miasta drogą okrężną, o wiele dłuższą niż ta prowadząca przez zburzony most, że mróz natężony nad ranem jak zielony ogienek bije gałązkami nasze podobne polnym świątkom chłopskie twarze. Pod tą muzyką niepewną, raz oddalającą się, to znów przybliżoną do nas, jakby kilka wiejskich kapel ktoś ogromny ciągnął na gumowej linie, zapadałem powoli w sen.

We śnie widziałem nasz nizinny krajobraz przysypany śniegiem, spod którego tu i ówdzie wystawały zajęcze uszy wiklinowych krzewów i zbłękitniałych od mrozu jodełek. Widziałem siebie biegnącego przez tę równinę na skradzionych Niemcom nartach. Przystawałem koło krzewów, naszeptywałem w ich uszy z nagrzonej na mrozie uciechy przeznaczone dla koni, słodkie jak owies słówka, poświęcane świętym półzdrowaśki, czerwoniutki jak jesienne jabłuszka i tylko psom wiadome, cudowne jak wysysany szpik z wieprzowej kości, weselne przyśpiewki. Od czasu do czasu na tej równinie, niezgrabnej w gruncie rzeczy, jak rozciągnięty wół w drewnianym zaprzęgu, widziałem siebie przemienionego w naszego żrebaka pachnącego jeszcze tkliwym rzeniem oźrebionej klaczy. Biegałem wtedy na tyczkowatych nogach, zapadając się po gorący brzuch w baranym śniegu, ale czując już całą zwierzęcą skórą rodzenie się pod lodowym podkożuszkim zaciśniętej w drobne piąstki trawy. A moje na wpół zwierzęco-ludzkie nozdrza wietrzyły błękitny zapach łąki przewianej z gorącego zapachu kminku furgotem przelatujących szpaków i przepiórek.

A wtedy ze żrebaka przemieniałem się w naszego psa Amora przetrąconego pod kołami samochodu starosty. Leżałem w wysokim zbożu z pękniętym kręgosłupem, sznurując ząb o ząb swój spiczasty pysk, aby nie skowyczeć, aby tylko ludzie nie podeszli do mnie, nie przewrócili mnie drewnianymi rękami na grzbiet i nie zaczęli łaskotać mojego pulsującego do pełnego bólu brzucha. Wydawało mi się psio, że zboże zbudowane jest na kształt pałacu z tysięcy zielonych kolumnienek sypiących w stronę zmierzchu sobie wiadome przekwitające światło. Tęskniłem tylko poprzez ten cały pałacowy obszar zboża do swojej rówieśnicy, podpalanej lisio suki. Widziałem jej zielone ślepia wypatrujące spoza rogu stodoły poprzez brzozowy zagajnik, skąd zazwyczaj o zmierzchu przychodziłem do niej ugięty w łopatkach, wlokąc brzuch po ziemi, bojąc się, że napadną mnie grający w

pliszkę chłopcy i obrzuca kijami i bryłami. Martwiłem się ogromnie, bardziej, niż to mogą czynić ludzie, nadaremny wypatrywaniem przez nią mojej psiej osoby. Zwłaszcza że z tej powiększonej przez otaczające mnie ze wszystkich stron zboża odległości czułem jej delikatny podobny do zdziczałego w glinianych naczyniach mleka, suchy zapach. Wtedy niemal wyskakiwałem ze skóry i zostawiając swoją obolałą istotę w zbożu, po kawalersku, z mysią czapką naciągniętą aż po czubek nosa, biegłem do niej i głaskałem ją niewidocznymi łapami po zwisających uszach tak natarczywie zasłuchanych o zmięczeniu w psie skomlenie sadu. A ona popychała mnie lewą łapą w stronę wystającego z zapola owsianego snopka. Tu przytuleni do siebie, zasypialiśmy, marząc o ryżych kundelkach, jakby uplecionych z koziej wełny i wysuszonego siana. Przetracony kręgosłup bolał mnie jednak niezmiernie. Wydawało mi się, że boli mnie całe otaczające mnie zboże z wszystkimi przepiórkami zwołującymi się do koszyków plecionych z czerwonego zmięczeniu. Wreszcie nieprzytomny z bólu, z łapą przygryzioną w pysku, zapadałem coraz głębiej w podpalone siano zamieniające się powoli w miotłę z sadzy i z perzyn. Na tej miotle jechałem na ukos po niebie przemieniony już w psiego anioła, z lewą łapą wyciągniętą do głaskania łysiej głowy gospodarza, z językiem wywalonym poza wargi, zlizującym zapach obory z szerokich dłoni gospodyni. Wszystko to mimo bólu było niezmiernie miłe. Już czekałem, kiedy zajadę na tej uplecionej z sadzy miotle do psiego raj, przywitam się tam z moimi rodzicami, dziadkami i pradziadkami, kiedy ojciec bojąc się, że we śnie zamarznę, szturchnął mnie grubszym końcem biczyska w obolały bok. Przebudziłem się z krzykiem, wchodząc powoli ze skóry psiej w moją ludzką skórę, mającą kiedyś okryć dostojeństwo proboszcza.

Zacząłem się rozglądać wokół siebie. Jechaliśmy teraz przez okolice zupełnie mi nieznane, wybrzuszone cudacznie glinianymi pagórkami, schodzącymi w olszynowe łąki. Koń wspinający się na te pagórki, widoczny z mojej wiązki siana aż po wnętrze owłosionych uszu, zapadał się nagle w dolinki, skąd przez chwilę trzepotał dodany mu weselnie ogon. Jechaliśmy wzdłuż lewego brzegu Dunajca, zataczając ogromne półkole wypchane w glinianych pagórkach przez senne ugięcie kolana tej tatarsko groźnej rzeki. Ojciec siedząc przy mnie z rękami podłożonymi pod uda, z lejcami zawieszonymi na szyi, pokazywał mi podniesioną i skręconą w bok głową świeżo opuszczone przez Niemców bunkry i okopy. Do bunkrów prowadziły wydeptane w śniegu ścieżki, zaznaczone po bokach pacynami błota i kłaczkami siana. Na jednym z bunkrów widniało jeszcze wigilijne drzewko. Na drzewku wisiał hełm, z którego wrony wyjadały śnieg, a może nie śnieg. Za okopami, w odległości nie większej niż gwizdnięcie na włączającego się po obejściu psa, widać było rozwalone domy. Stamtąd, jak obłamywanie w lesie jałowcowych gałązek, dochodził suchy śpiew. To śpiewali Rosjanie. Dotąd jeszcze nie widziałem Rosjan. Nie zobaczyłem ich i teraz. Śpiewali otoczeni zewsząd glinianymi pagórkami. Przejeżdżaliśmy przez ten śpiew, zostawiając za sobą wążutką przyśpiewkę drewnianego wozu. Wydawało mi się, że

pomiędzy olszynowymi laskami widzę siwiejące niemieckie mundury. Ale nie wybiegały z lasków na otwarte pole. Zostawały w laskach, jakby wsiąkały w pnie drzew, dodając im błękitu.

Okolica przed nami rozwidniła się do reszty. Wjeżdżając na pagórki, widzieliśmy przed sobą, a oglądając się i poza sobą, coraz więcej wozów. Były to te same wozy, które w ciemności tak bardzo mnie zaniepokoiły. Rzeczywiście, jechali na nich chłopcy podobni do mnie, opatuleni tak samo jak ja w baranie kozuchy, zawinięci w szale. W półkoszkach tych wozów podskakiwały kraciaste pierzyny. Z daleka wyglądało to, jakby w półkoszkach wieziono kolorowe obłoki. Ale teraz w dziennym świetle ta ogromna ilość wozów już mnie tak bardzo nie denerwowała. Doszedłem do wniosku, że jeśli ci chłopcy, którzy jadą na nich, są do mnie podobni, wiozą na pewno w sobie jakieś ciekawe, nieznanne mi zabawy. Przeto gdy dojedziemy do miasta, będą razem z nimi, a oni się podzielą ze mną tym wszystkim, co wynieśli ze swych wsi. A w mieście na pewno znajdzie się jakiś kawałek łąki, aby móc wypróbować te nieznanne mi zabawy, dołożyć jedno do drugich i prowadzić je nadal. Wprawdzie wydawało mi się, że jestem już inny niż przed paru dniami, że ten chłopiec, którego oglądałem codziennie na łąkach, w lesie, w rzece i wśród zwierząt, został na zawsze wypędzony z dziecięcych krajobrazów. Nie sądziłem jednak, aby wspólnie z moimi rówieśnikami, jadącymi przede mną i za mną na wozach, nie można było w mieście, gałązka po gałązce, zwierzątko po zwierzątku, budować nadal naszej dzikiej wiejskości. Jechałem więc nadal bez tego onieśmienia, jakie się w każdego zakrada, kiedy wychodzi spośród bliskich mu osób na dłuższy czas albo kiedy do nich powraca po wielomiesięcznej nieobecności. Do tej pory jeszcze nic nie utraciłem. Jechałem nadal taki, jaki byłem uprzednio, jakby poza mną jechało na oddzielnych wozach całe moje dzieciństwo. Cieszyłem się z tego niezmiernie, bo nigdy nie mogłem uwierzyć tym, którzy byli w Niemczech na robotach, i tym, którzy byli na wojnie, że po powrocie do rodzinnej wsi utracili siebie na rzecz kogoś im obcego i z trudem przez wieś rozumianego. Wprawdzie wielokrotnie śniłem, że po odejściu z rodzinnego domu będę zamknięty w zamku bez okien, o ścianach włochato wchłaniających moją wiejskość. A wyjdę stamtąd przezroczysty jak okienna szyba, przez którą będą patrzeć moi najbliżsi i moje zwierzęta i nic nie zobaczą. Były to jednak sny wyczytane z książek, więc niezupełnie im ufałem. Patrząc jednak na ojca wyraźnie odmienionego, jakby jego, zazwyczaj ostra, twarz ulepiona była ze słodkiego pszczelego wosku, byłem pewny, że coś niezwykłego się dzieje. Ojciec mój już mnie widział przez to swoje wyobcowanie, jakie nabył z dala od domu na trzech wojnach. Patrzył więc na mnie z tej odległości, która będzie pomiędzy nami nieuchronnie narastać. Nie byłem tylko pewny, czy patrzył na mnie z tej odległości, która mnie odsuwała od niego za sprawą dorastania, czy też z tej odległości, która narośnie między nami z chwilą, kiedy miasto wsączy się jak szpik kostny do mojego kręgosłupa.

Jednego i drugiego nie chciałem. W myślach modliłem się, aby ojciec

przesłał na mnie patrzeć jak na oddalającą się, wyszłą z jego wnętrza gwiazdę. Wprawdzie przeczuwałem, że nigdy nie będę odcięta od moich najbliższych wierzbową gałązką, zasadzoną na innej, karmionej inną wodą glinie, ale i tak ta naturalna u ojca próba spojrzenia na mnie za te kilka lat, które mają się dopiero we mnie dopełnić, była nader przykra. Jechałem więc koło ojca jako ktoś nieobcy wprawdzie, ale już skazany na tę obcość. I jak to bywa zazwyczaj w takich przypadkach, krajobraz, przez który przejeżdżaliśmy, wydawał się podkreślać to wszystko. Oczywiście było inaczej. To ja krajobrazowi dodawałem swój niepokój. Wtedy jednak krajobraz był dla mnie żywą istotą, podzieloną na wiele ludzi i zwierząt, a zwłaszcza na równie żywo jak ludzie i zwierzęta istniejące rośliny. Stąd też moje części oddawane krajobrazowi i przyjmowane od niego.

Po tych rozmyślaniach, tak naturalnych przecież w takich chwilach, najbardziej mnie zdziwiło zapomnienie o tych rówieśnikach, którzy jechali za mną i poza mną. Nie mogłem sobie już w żaden sposób wyobrazić, że przyjdę do nich z tym wszystkim, co uzbierałem w sobie przez okres dzieciństwa. Sądziłem, że tak ja, jak i oni będą od tej chwili czynić wszystko, abyśmy się zrozumieli tylko do tego momentu, w którym odjeżdżaliśmy od swoich najbliższych. Natomiast to, co się zacznie od tej chwili, będzie wyłącznie przeznaczone dla naszych samotnych rozmyślań. Byłem jednak tym spostrzeżeniem ucieszony. W ten sposób będziemy wszyscy mieli prawo w każdej chwili podejść do tych naszych wiejskich części przechowywanych w nas skrupulatnie, aczkolwiek wstydliwie. Widziałem już, jak pod sutanną proboszcza, garniturem nauczyciela naszczekują w nas radośnie nasze zostawione na wsi psy, skaczą po pochyłych jabłoniach porzucane przez nas kozy, miauczą żałośnie topione przez nas w sadzawkach kocięta, trzepocą niedorozwiniętymi skrzydłami wybierane przez nas sroki. Jednak wiedziałem, że wystarczy tylko lekko pchnąć drewnianą furtkę umieszczoną w naszym lewym boku, aby wejść do sadu pełnego owoców, a z sadu w zboża rozchylające się świetlice przed naszym cielesnym zmrokiem, a ze zboża w las pijący przesyconą dziegciem wodę. A wtedy na czas naszej niepodpieranej spojrzeniami w oczy rozmowy znikną z nas sutanny i nauczycielskie garnitury. Nie wiedziałem jednak, na co nam to wszystko będzie potrzebne. Nie wiedziałem jeszcze, że to nasi ojcowie tego sobie życzą.

W czasie tych rozmyślań nie zauważyłem nawet, że wjeżdżamy do miasta. Nie było to jeszcze prawdziwe miasto. Dopiero jego rogatki. Niskie, kryte papą domy przedmieścia, wysuwające spod śniegu swój wytopiony na słońcu kopeć, ucieszyły mnie swoim podobnym do naszych wiejskich domów bezradnym ubóstwem. Wprawdzie pomiędzy tymi domami kręciło się więcej ludzi niż u nas w czasie odpustu, wszyscy jednak poruszali się na tle podobnym do tła mojego dzieciństwa. Uliczki pomiędzy tymi domami otoczone drewnianymi parkanami, jakby wycięte w nie heblowanych tarcicach, a w porannym przymgleniu zimy jakby wystrzyżone w parcianym

worku, były podobne do wiejskich uliczek. Ogródki pomiędzy domami, mniejsze niż nasze sady, ale wymachujące spoza parkanów pomiotłami wisienek, upewniały mnie jeszcze bardziej w obopólnym wsi i miasta podobieństwie. Jechałem przez to wszystko jak na odpust, wprawdzie większy niż nasz wiejski, ale tak samo piernikowo słodki, pirotechnicznie pachnący siarką, sianem i końskim łajnem. Z głównej, bitej granitową kostką drogi skręciliśmy w bok. Wjechaliśmy w jedną z drewnianych uliczek. Przystanęliśmy u przeciwnego wylotu tej uliczki. Ojciec zszedł z wozu, zabierając ze sobą bat. Ja zostałem na wozie pilnować konie. Ojciec, przechylając się przez parkan, zastukał batem w umieszczone tuż nad ziemią okienko. Po chwili w okienku ukazała się twarz staruszki. Uśmiechnęła się do ojca, odchyliła się w bok, popatrzyła na mnie, pokiwała mi ręką i znikła w ciemnej beczcze izby. Po chwili wyszła do nas otulona w czarny koronkowy szal. Ojciec w tym czasie kazał mi zeskoczyć z wozu i ucałować ręce staruszki. Staruszka odemknęła drewnianą furtkę, umieszczoną jakieś dziesięć kroków od nas. Najpierw ojciec z kapeluszem w ręku, później ja schyliliśmy się do jej pachnących babkowymi liśćmi rąk. Staruszka wzięła moją twarz w swoje kościste ręce, pogładziła mnie po policzku, ucałowała w czoło, potargała za szczesane na bok włosy szepcząc przez cały czas jakieś modlitwy czy też zaklęcia. Po tym nazbyt dziwnym dla mnie powitaniu weszliśmy za staruszką do jej niziutkiego domku.

Domek był drewniany i jak wszystkie na tej uliczce kryty papą. Podobny był do żydowskich domków znanych mi z parafialnych wsi. Wydłużony niezmiernie, wyglądał raczej na ujeżdżalnię kocią niż na dom ludzi. Pachniało też w nim, począwszy od korytarza zawalonego skrzyniami i okutymi kuframi, a skończywszy na pokoju, w którym znaleźliśmy się przechodząc przez przedpokój i kuchnię, marcowymi kotami, cebulą i zjełczalym masłem. Sama staruszka, wysuszona jak olszynowy wiórek, gadała tak szybko i tak głośno, iż zdawało się, że lada moment zaiskrzy się jej w ustach i zanim którykolwiek z nas zdąży sięgnąć po wiaderko z wodą stojące obok drzwi, spłonie na węgielek. Staruszkę ojciec znał przez jej męża. Przyjeżdżał do nas w czasie okupacji. Wywoził od nas słoninę, ziemniaki i groch. Zginął przypadkowo, wyskakując z pociągu z plecakiem pełnym ziemniaków. Staruszka właśnie opowiadała o nim, pochlipując i wycierając jeszcze bardziej kościstą w płaczu twarz w czarny koronkowy szal.

Kiedy staruszka uspokoiła się na tyle, że można było do niej podejść, ojciec zaczął z nią rozmawiać o mnie. Prosił ją, aby mi była przez czas gimnazjum drugą matką. Przy tej okazji zostały staruszce przekazane wszelkie uprawnienia mojej matki do możliwości używania pogrzebacza włącznie. Staruszka spoglądała na mnie przez swój powrotnie przeżywany ból i kiwała głową. Zdaje się, że niewiele rozumiała z tego, co do niej mówił ojciec.

Po tej bardzo przykrej dla mnie ceremonii przekazywania władzy nade mną staruszce zabraliśmy się z ojcem do znoszenia z wozu tego wszystkiego, w co

nie matka wywianowała na drogę do miasta. Poznosiwszy wszystko, poszliśmy z ojcem do miasta. Ojciec chciał kupić dla siebie i dla mnie czapki krymki. Po sprawieniu czapek przyszliśmy z powrotem do staruszki. Zjediśmy u niej kupiony w masarni boczek. Potem ojciec, jeszcze raz upomniawszy staruszkę, aby mnie pilnowała, pożegnał się z nią i ze mną. Zdaje się, że nawet nie płakałem całując ojcowskie ręce. Wyszedłem za nim na drewnianą uliczkę. Ojciec odwiązał z podkulka lejce, podszedł do konia, przeżegnał batem ziemię pod jego przednimi nogami, wsiadł na wóz i patrząc na mnie, jakby przez zielone wigilijne drzewko - odjechał.

Widziałem go, jak wjeżdżał w uliczkę coraz bardziej pogiętą w drewnianych opłotkach. Jeszcze na chwilę u wylotu uliczki mignął mi koński łeb, wymachujący ogon, kapelusz ojca, tylna część wasążka, a po chwili tylko uniesiony bat i coraz słabszy bociani klekot wozu dolatujący zza prostopadłego do naszej uliczki ogródka - mówiły o moim ojcu. Stałem jeszcze długo w uliczce oparty plecami o tarcicowy płot. Dopiero kiedy staruszka, stojąca obok mnie, pociągnęła mnie za rękaw, zacząłem na powrót, jakby po kawałku, przychodzić do siebie. Kiedy za staruszką wszedłem do domu, wydawało mi się, że z ojcem odjechał na pewno ktoś do mnie podobny, a u staruszki pozostał też ktoś do mnie podobny, ale już inny od tamtego, którego uwiózł ojciec. Odtąd ta dwoistość mojej istoty nie mogła się zejść w jedną. Wydawało mi się, że dorastam do kogoś mi przeznaczonego, ale nigdy nie przeczuwanego i zupełnie bezbronego. I tak już było przez cały czas pobytu u staruszki. Nic nie pomogło noszenie wody z odległej o sto kroków studni, rąbanie drzewa w szopie, przycinanie na wiosnę owocowych drzewek w małym, podobnym do wazonika ogródka. Ta druga moja istota nieustannie rozrastała się we mnie. Wtedy zacząłem się modlić po nocach. Zasypiałem dopiero wtedy, kiedy widziałem siebie z naszym psem na łące, wchodzącego aż po szyję do stawu lub też galopującego na oklep przez jesienne ścierniska. Niestety, rano wstawałem z tym samym, co zawsze, uczuciem, jakbym samego siebie okradał z najbardziej niezbędnych rzeczy.

A przez ten czas staruszka coraz bardziej dziwaczała. Otoczona zewsząd kotami, rozmawiała z nimi jak z dorosłymi ludźmi. Bury, pręgowany żółcią kocur był jej zabitym mężem. Opowiadała mu całymi godzinami o swoim wdowim ubóstwie. Chwaliła się przed nim zdobytym workiem węgla, łupką drzewa, tanio kupionym garnuszkiem masła. Jeśli kocur słuchał uważnie, a do tego przeciągał się i mruczał, musiałem biec na rynek i kupować dla niego garnuszek mleka. Muszę powiedzieć, że kocur zdecydowanie mi się nie podobał. Dlatego też kiedy przechadzał się po rozłożonych po pokoju poduszkach w swoim ryżym fraczku, pociągałem go za ogon. On wtedy wrzeszczał i wchodząc pod spódnicę staruszki, wystawiał stamtąd swój jezuicki łeb, pełen ośleplej nienawiści. Już bardziej lubiłem czarną kotkę. Ta znów była zmarłą córką staruszki. Oczywiście i z nią staruszka od czasu do czasu rozmawiała jak z dorosłą kobietą. Były to jednak rozmowy o wiele bardziej błahe niż z kocurem. Dotyczyły jakichś fatalaszków staruszki. Przed

kotką staruszka nigdy się nie chwaliła powiększonym dobytkiem. Nie pokazywała jej też nigdy schowka umieszczanego w wydrążonej nodze stołu, gdzie kocur oświeślał zielonymi ślepiami jej i męża pierścionek, zwitek dolarów i małą złotą bransoletkę. Na tym wszystkim najbardziej cierpiała kotka. Nigdy nie dostawała mleka. Musiała się zadowalać jaglaną kaszą. U staruszki były jeszcze inne koty. Ale te już nie wyobrażały domowników. Były to jakieś dalsze nieżyjące ciotki, sąsiadki i najzwyczajniejsze przekupki. Klóciła się też z nimi często i z upodobaniem. Właśnie te kocie ciotki najbardziej mi przeszkadzały. Uciekając od staruszki, wchodziły na mój stół, gdzie się uczyłem.

Pewnego dnia, kiedy staruszka rozmawiała z kocurem o wielkanocnej szynce, do naszego domku weszło kilka starszych pań z książkami pod pachą. Staruszka wstała z łóżka i poprosiła mnie, abym poszedł do szopy urąbać drzewa. Odwiedziny tych pań bardzo się przeciągały. Kiedy przyszedłem z szopy, na stole leżała gruba książka. Później, kiedy staruszka wyszła na targ, dowiedziałem się, że była to Biblia. Jeszcze później zorientowałem się, że staruszka zapisała się do badaczy Pisma Świętego. Nie dziwiło mnie to bardzo. Wiedziałem, że dają oni nowo nawróconym żywnościowe paczki i pieniądze. Niestety staruszka zaczęła od tej pory jeszcze bardziej dziwaczeć. Jeśli przedtem głaskała mnie od czasu do czasu po głowie, przemawiając do mnie: - Proboszczuńku kochany - teraz przeklinała w każdej wieczornej modlitwie moje powołanie. Aby mi jeszcze bardziej dokuczyć, ściągnęła ze wszystkich swoich pierzyn, a również z mojej, poszwy, wyniosła je na targ i sprzedała. Na ich miejsce przyniosła nowe, pokreślone w olbrzymie kraty. Ale zanim ubrała w nie pierzyny, pomiędzy kratami, mniej więcej tak jak biegną czarne pola w szachownicy, powypisywała co celniejsze wersety z Biblii. Od tej pory sypialiśmy pod pierzynami upstrzonymi tymi cytatami. Miało to tę dobrą stronę, że staruszka przestała sprowadzać koty do domu. Wylegiwała się całymi godzinami w łóżku i ostrym jak pilnik głosem wyśpiewywała z pierzyny co celniejsze wyjątki z Biblii o piekle i o raj. A ponieważ była bardzo przesadna, przed zaśnięciem zawsze układała tak pierzynę, aby ją okrywały wyłącznie fragmenty mówiące o raj. Natomiast z mojej pierzyny po jednej z burzliwszych ze mną kłótni powykreślała grubo zastruganym i moczonym w tuszu kołeczkiem wszystkie "niebiańskie" wersety, zostawiając tylko te, które mówiły o wiecznym potępieniu. W ten sposób noc w noc sypiałem w piekle. Od tego też czasu miewałem przerażające, pełne piekielnego ognia sny.

Mimo wszystko mniej byłem przerażony tymi snami niż gwałtowną zmianą w łagodnym usposobieniu staruszki. Zawsze sobie wyobrażałem, że starzy ludzie są stali w swoich uczuciach. Sądziłem, że są podobni do naszej dzikiej jabłonki, która żadnego roku nie opuszczała nas i sypała w nasze zanadrza małe gorzkie jabłuszka. Zmiana w usposobieniu staruszki miała jednak tę dobrą stronę, że przestałem się przejmować tymi zmianami, które w sobie odnajdywałem z każdym dniem. Dlatego może mój początkowy zamiar, aby wynieść pierzynę staruszki do ogródka i spalić ją, nieco złagodziłem.

Postanowiłem się zemścić bardziej przemyślnie. Kiedy pewnego dnia staruszka wyszła wieczorem do sąsiadki i nie powracała zbyt długo, podrzuciłem jej moją pierzynę. Wygasilem światło i położyłem się spać. Staruszka, bojąc się mnie obudzić, nie paliła już lampy i nie śpiewała przed zaśnięciem biblijnych wersetów o raju. Szybko i cichutko położyła się spać. W ten sposób przespała całą noc pod moją mającą wyobrazać piekło pierzyną. Ale rano, kiedy się przebudziła, włożyła okulary i zaczęła na pierzynie szukać swoich ulubionych cytatów o raju na pamięć jej znanych i co chwilę z krat pierzyny wyśpiewywała jękając się wersety o piekle - wyrzuciła mnie z domu.

Poszedłem do miasta przekonany, że już nigdy nie powrócę do staruszki. A miasto, znane mi już z drewnianych uliczek, uchylało się przede mną, jak olbrzymie koło, wiecznie się obracające, na którym nie można zaznaczyć miejsca, przez które się do niego weszło, ani tym bardziej tej furtki, którą się z niego wychodzi. Bałem się tego miasta. W żaden sposób nie mogłem go dopasować do siebie. Jeszcze uliczki przedmieścia miały dla mnie ten sam zapach co wiejskie opłotki. Ale im dalej wchodziłem w jego obszar, tym bardziej byłem onieśmielony. Już u wylotu podmiejskich uliczek przystawałem, jak przed naszym drewnianym kościółkiem, szukając nad głową sygnaturki, aby pociągnąć za jej sznurek i dać w ten sposób znak, że mogę iść dalej. Kiedy wchodziłem w większą, zaskoczona ze wszystkich stron kamiennymi domami ulicę, szukałem na jej rogu, jak w naszym parafialnym kościele, kropielnicy. Do tego jeszcze od staruszki wiedziałem, że przed wojną większość miasta była zamieszkała przez Żydów. Patrzyłem więc na nie zamieszkałe domy jak na cmentarne nagrobki. Wydawało mi się, że słyszę przechodzących obok mnie za cieniutką drewnianą ścianą zamordowanych niedawno ludzi. Powracali oni z mojej wsi obładowani od pośladków aż po atłasowe jarmułki króliczymi skórkami. Słyszałem też tych żydowskich muzykantów, którzy przygrywali na wiejskich weselach i na parafialnych odpustach. Szli teraz obok mnie ze skrzypcami, z fletami, z basetlą. Poza nimi, poza ich muzyką tańczyły moje ciotki w czereśniowych sadach, moi wujkowie jeździli od rana do zmierzchu na skrzypiącej karuzeli. Słyszałem również klekoczące wozy, jadące na spaczonych na słońcu kołach, wypełnionych po brzegi skupywanymi od moich rówieśników szmatami i żelastwem. A przed wszystkimi szedł mój rówieśnik - Mojżesz - z drewnianą kukułką w ręce, pohukując na niej, uderzając rękami o uda i o piersi. Bałem się iść dalej. Tłum przechodzący obok mnie za drewnianą, zbitą z cienkich desek ścianą coraz bardziej gęstniał. Do tego z rozwalonych i opuszczonych domów wylatywały co chwila kawki. Wtedy skręcałem w boczną uliczkę i wychodziłem na stację kolejową zburzoną do samych fundamentów. Tu siedząc na kamieniu przypatrywałem się pociągom załadowanym czołgami i armatami. Z krytych wagonów wychodzili rosyjscy żołnierze. Szli z menażkami po wodę, rozpalali ogniska, gotowali fasolę i kaszę. Ugotowany posiłek jedli powoli w chłopskim zamyśleniu. Potem siadywali wokół ogniska i zaczynali śpiewać swoje pieśni szerokie tym stepem, który zasłyszałem w książkach Sienkiewicza.

Wiedziałem, dokąd jadą. Ale nie wiedziałem, gdzie to jest. Wydawało mi się, że jadą na jakieś wielkie wiejskie wesele. Przed przyjazdem do miasta widziałem takie wiejskie wesele, gdzie starsi ode mnie chłopcy przychodzili z pistoletami i z automatami, i strzelali długo w wygwieżdżone niebo i w jeszcze bardziej niebem wygwieżdżony sad. Poprzez Rosjan odjeżdżających na to wielkie wesele, poprzez miasto podobne do naszego wiejskiego kościółka i poprzez staruszkę podobną do wiecznie głodnego ptaka, widziałem siebie obutego w komiśne trzewiki, sznurowane kapryśnie prostopadle do kostki. Byłem ogłupiały, jak pies wyciągnięty z przerębli. Mieszało mi się w głowie. Nie mogłem w żaden sposób odnaleźć siebie podobnego do wiejskiego chłopca. Nie wiedziałem też jeszcze, przeciw komu się zmieniam w kogoś mi nieznanego. Chciałem się zmieniać tylko przeciw sobie. Ale bałem się bardzo, że się zacznę zmieniać przeciwko moim najbliższym. Dlatego tak bardzo chciałem zostać proboszczem. Proboszcza wszyscy całują po rękach. A gdy całują po rękach, nie patrzą w oczy. A to wiele znaczy, bardzo wiele.

[Spis treści](#)



Dorastanie

Wstaliśmy z ojcem bardzo wczesnie. W domu było prawie ciemno. Wprawdzie tuż za oknami, pod sadem, jak pod ogromnym weselnym bukietem, tliła się jeszcze siarka wczorajszej burzy, ale jej światło było raniej niż hubkowe. Ponieważ górne szyby okień były uchylone, powietrze w izbie miało smak hartowanego w wodzie żelaza. Ojciec na chwilę otworzył jedną połówkę okna, aby spojrzeć na odarty z kory jesion zwalony tuż pod przycieś. Jeśli jesion w ciemności błyszczał jak wyczyszczony w ile pług, wiadomo było, że będzie pogoda. Jesienny pień prawie błękitniał. Teraz obydwaj z ojcem ubieraliśmy się pośpiesznie. Łąki były daleko od wsi, pod lasem. Zanim do nich dojdziemy, słońce gotowe nas zaskoczyć w połowie drogi. A wtedy zamiast miękką trawę stojącą po chitynowe kolanka w rosie, będziemy kosić kolczasty drut. Gotowi do drogi w pół pacierza, zdjęliśmy zawieszane na konarze jabłunki, wyklepane uprzedniego dnia kosy i ruszyliśmy na przełaj polnymi ścieżkami. Ojciec szedł przede mną. Na nogach miał juchtowe buty o niedosznurowanych cholewkach, w które były wpuszczone cajnowe portki ściągnięte powyżej kostek konopnym sznurkiem. Ja szedłem za nim bosy. Ślizgałem się jak na lodzie na mokrej trawie ścieżki. Upadałem na kolana w przekwitające zboże. Wtedy ojciec przystawał i patrząc na mnie, gramolącego się ze zboża, śmiał się radośnie. Powiadał, że od kwiatowego żółtego pyłku wyglądam, jakbym na weselu tańczył oberka w beczce, do której rozbito kilka kóp jaj na jajecznicę. Śmiałem się sam z pomysłu ojca. Podnosiłem się szybko i prawie biegłem, bojąc się zgubić w ciemności jarzący się jedyną

białą ojcowski kark.

Tak szybko i tak ustronnie, jak dzisiaj do koszenia łąki, chodziliśmy z ojcem tylko w czasie okupacji. Ale wtedy przenosiliśmy broń. Właściwie tylko ojciec niósł broń, a ja go ubezpieczałem. Wychylałem się zza zboża, upatrywałem z lewej i z prawej strony drogi, czy ktoś nie idzie. Dla mnie osobiście była to wyśmienita zabawa. Trochę podobna do ciuciubabki, a trochę do zabawy w złotą kulę. Nic też dziwnego, że byłem podniecony jak cielak wyprowadzony po raz pierwszy na błonie. Rozpierała mnie złodziejska uciecha pomieszana ze złodziejskim lękiem. Podobnego uczucia doznawałem tylko wtedy, kiedy jesienią zakradałem się do sadu sąsiada po śliwki. Poza tym była to w moim życiu pierwsza okazja, kiedy mój ojciec był zależny ode mnie. Zresztą od samego dzieciństwa marzyłem o takiej chwili. Ileż to w moim sercu zbudowałem zamków dla ojca. Ileż razy wyjeżdżałem do Ameryki, aby przybyć stamtąd z malowaną skrzynią pełną dolarów. I nie było dnia, abym naszej krowy nie puszczał z długiego łańcucha w koniczynę sąsiadów, aby tylko usłyszeć dobre słowo od ojca. Wprawdzie to uczucie wypływające z serdecznej chęci obdarowywania najbliższych najlepszą częścią swego wnętrza nadal we mnie trwało, ale już nie miało smaku jedzonego po raz pierwszy razowego chleba. I już wtedy, kiedy z ojcem szedłem kosić łąkę, nie byłem pewny, czy moje uczucia są bezinteresowne. Wydawało mi się, że w ten najserdeczniejszy sposób ubezpieczam się na lata nieprzewidziane. Bo już wtedy potrafiłem w sobie dojrzeć tego małego chłopca, który wprawdzie był podobny do mnie, ale któremu nie umiałbym podać drewnianej kukułki i ślazowego cukierka. Ten mały chłopiec był po prostu dorosły. I chociaż byłem pewny, że jeśliby nas z ojcem spotkało to samo, co w czasie okupacji, na pewno bym go bronił tak samo serdecznie, ale już nie z tych dziecinnych powodów. Tamto radosne podniecenie wywierało ze mnie, jak kminkowy zapach z dwurocznego siana. Stawałem się powoli podobny do ojca. Byłem mężczyzną. Nawet na kark ojca nie patrzyłem z dawną czułością. Nikt by mnie już nie potrafił zmusić, abym zarzucił ojcu ręce na szyję, zbliżył się do jego twarzy i zaczął łaskotać swoje w gryczanym puchu policzki o jego szpeciniasty zarost. A przecież wewnątrz siebie byłem przygotowany na taką samą serdeczność jak uprzednio. Nie byłem tylko zdolny czynnie jej wyrazić. Była we mnie zasłonięta tym wszystkim, co mnie z każdym dniem coraz bardziej upodabniało do ojca - mężczyzny. Szliśmy więc obok podobni do siebie jak dwie krople wody spływające po szybie, ale już nie ogarniające się nawzajem - on mnie swoim ojcostwem, a ja jego swoim dzieciństwem.

Gdzieś w połowie drogi na łąki rozjaśniło się na tyle, że widać było, jak do białka horyzontu wpływa powoli żółtko snu. Szliśmy teraz przez pola ustalające swoje odrębne kolory, muzykowania i formy. Kiedy wszystko wokół nas zostało obciążone rybem czernidłem horyzontu, byliśmy na łąkach. Ojciec przeszedł stopa za stopą wzdłuż granicy naszej łąki, oddzielając ją od łąki sąsiada. Zaczęliśmy kosić. Trawa podbita od spodu rosą zsuwała się po ostrzu kosy z chrzęstem borowanej miedzi. Po skoszeniu

pięciu pokosów pogoda nad nami i wokół nas ustaliła się na pełnych zaufania jaskrowych wysokościach. Jeśli jeszcze przed chwilą koszących wokół nas sąsiadów rozpoznawaliśmy po bliższym lub dalszym odgłosie opadającej na pokos trawy, obecnie słuszność naszych przypuszczeń sprawdzaliśmy naocznie. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. Dla ojca i dla mnie muzykujących po weselach niemal od dzieciństwa, każdy wóz jechał na innej przyśpiewce, każde drzewo w jesiennym sadzie śpiewało inaczej. Dlatego choć nie widzieliśmy dalej od idącej przed nami kosy, byliśmy pewni, że obok nas kosi nasz najbliższy sąsiad. Jakoż gdy się rozjaśniło, zabaczyliśmy go idącego w szerokim rozkroku wzdłuż mającej kształt weselnego pieroga łąki.

Pozdrowiliśmy go z daleka. Sąsiad nam odpowiedział, przystając w połowie pociągnięcia kosą i poprawiając ściągnięty na tył głowy kapelusz. Widziałem, że tak ojciec, jak i sąsiad, mają ochotę odpocząć, usiąść pod nadrzeczną wikliną, wypalić papierosa i pogadać. Szturchnąłem ojca w łokieć i pokazałem ręką na słońce wtaczające się coraz wyżej na niebo. Zaczęliśmy kosić pośpiesznie. W ten sposób mój obmyślony wczorajszego dnia plan stawał się coraz realniejszy. Jakoż trzeba wam wiedzieć, że od dawna podkochiwałem się w córce sąsiada. Wiedziałem, że ma przyjść na łąki rozbijać i suszyć siano. Chciałem wtedy poprosić ojca, aby szedł do domu na śniadanie, a ja przez ten czas, zanim nie przyniosą mi coś do zjedzenia, rozbiję pokosy i, jeśli będzie ładna pogoda, nachylę pierwszy raz siano. O to samo miała poprosić swego ojca moja rówieśnica. A słońce wtaczające się coraz wyżej na niebo było tylko wiechciem siana, którym chciałem się wykręcić przed ojcem. Kosiliśmy więc nadal pośpiesznie, chociaż ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Gdy mieliśmy do skoszenia może jeszcze dwa pokosy, pod nadrzecznymi wierzbami, które tworzyły tu coś w rodzaju wierzbowego lasku, zobaczyłem idącą córkę sąsiada. Wśród wierzbowych gałązek (łąka była na pagórku, lasek wierzbowy w dolinie) mignęła mi jej turecka chusteczka. Szła dosyć szybko. Raz po raz na jej widoczną z daleka twarz opadały gałęzie wierzbowe, jak ogromne roślinne ręce. Widziałem ją jakby między rozchylonymi palcami, przez które szacuje się odległość niezbędnie nam potrzebną. A ona widząc, że jestem na łące, szła jakby wyłącznie dla mnie. Z głową lekko odchylną do tyłu, jakby przez nią przelatywały kolorowe ptaki, już z tak daleka robiła mi niejako miejsce przy sobie. Jakoż wiedziałem, że w każdej chwili mogę przyjść do niej, zagrać jej na odpustowych organkach tę na wpół weselną i na wpół miłosną piosenkę o ułanie śpiącym obok rzeki. A ona wychylona w moją stronę będzie nasłuchiwać, co z tej piosenki może zabrać dla siebie, a co oddać urojonemu ułanowi. Zresztą obydwójce wtedy nie wiedzieliśmy, co to jest ułan. A piosenka była nam wspólna tylko dlatego, że wyrażała to, do czego ja z serdecznego pragnienia dziewczyny tęskniłem. Ale ponieważ z ojcem kosiliśmy łąkę na ukos, a córka sąsiada szła do nas prostopadle, musiałem niemal robić pół obrotu głową, aby ją dostrzec. Kosilem więc nieuważnie. Poza tym kosilem wolniej, zostając coraz bardziej w tyle za ojcem. Ojciec to zauważył. Podszedł

do mnie i spod mojego pokosu odgrzebał całe kępki nie dociętej trawy. Popatrzył na mnie i powiedział: - No, chłopie, koś uważniej, bo cię przywiążę do łąki jak barana, który zamiast skubać trawę, zapatrzył się w swoje odbicie w stawie. - Niemal słyszałem, jak krew spływa mi aż do czubków palców. Nie sądziłem jednak, aby ojciec wiedział więcej o nas, niż to, że razem chodzimy do kościoła i razem na jesiennych łąkach pasamy bydło. Na wszelki jednak wypadek przestałem spoglądać w stronę idącej da nas dziewczyny i starałem się kosić uważniej. Kosiliśmy zresztą już ostatni pokos i wiedziałem, że za chwilę ojciec podejdzie do sąsiada, aby wspólnie z nim wypalić papierosa. Tak się też, jak przewidywałem, stało. Po skoszeniu łąki i otarciu do sucha wiechciem siana kos podeszliśmy do sąsiada. Ojciec z sąsiadem poszli w stronę rzeczki usiąść w wiklinowym cieniu i wypalić papierosa. Ja zostałem sam na sam z dziewczyną. Popatrzyła na mnie, a widząc, że jestem cały mokry od potu, odpięła zapaskę, abym się nią wytarł do sucha. Sięgnęła po blaszany dzbanek z wodą i dała mi pić. Woda miała smak jej chłodnych palców, których w przelocie, gdy mi podawała dzbanek, dotknąłem. Oddałem jej dzbanek rozjaśniony od wewnątrz, jakby cała moja istota przelatowała pomiędzy pełnymi owoców sadami. Przez cały ten czas nie powiedzieliśmy do siebie ani jednego słowa. Nie wiedzieliśmy o tym, ale zdawało się nam, że nie wypada mówić, gdy jesteśmy obecni nie tylko obok siebie, ale jakby wewnątrz istniejący - ja w niej, a ona we mnie. Nasze odrębne istoty zacierały się tak dokładnie, że wydawało mi się, iż w każdej chwili mogę się przebrać w jej sukienki i być dziewczyną, a ona w moje ubranie, aby być chłopcem. Nasza odmienna płeć nie peszyła nas ani przez chwilę. Zresztą ledwie ją wówczas przeczuwaliśmy, jak odległe leśne stawy prószące przez leszczynowy gąszcz cierpkością i chłodem. Wiedzieliśmy jednak, że jest to coś groźnego, bodaj groźniejszego niż targanie przez płot wiśni z sadu sąsiada. Dlatego między nami istniało to onieśmienie, jakie można zauważyć u chłopów, gdy niespodziewanie natkną się na swej drodze na proboszcza lub starostę. Ale poza tym było w nas weselnie, bardziej weselnie niż to bywa na odpustowej karuzeli. I wiedzieliśmy o tym, ocierając się o siebie niby to przypadkiem, a w gruncie rzeczy badając przeczuwane w nas obszary, gdzie tańczyły nie znane nam słoneczniki i nie mniejsze od nich jaskry.

A nasi ojcowie nadal siedzieli pod wikliną. Ciekawiło mnie, czy wiedzą, albo czy chociaż przeczuwają, co się pomiędzy nami dzieje. Jeśli tak, na pewno patrzą na nas, jak na bawiące się dorastające szczenięta. Gdyby wiedzieli, jak w tej chwili jesteśmy daleko od nich, od tego wszystkiego, co oni nazywają ojcostwem, domem i przywiązaniem. Wtedy z pewnością podeszliby do nas, aby nas onieśmielić i zakazać nam swoją obecnością tego wszystkiego, co od tak dawna jest już poza nimi. Ale nie mogli wiedzieć o niczym. Przeglądałem się w dzbanku napełnionym wodą. Moja twarz nie wyrażała nic szczególnego. Może tylko oczy miałem bardziej uniesione niż zazwyczaj, jakbym odprowadzał stado ulatujących gołębi. Również córka

sąsiada prócz szybszego niż zwykle oskubywania korony rumianku, nie była inna niż codziennie. Wprawdzie wiedziałem, że wszystko wokół nas jest przeciwko nam, musimy się więc bronić, ale nie przypuszczałem, że jesteśmy cieśniej aż tak zwarcie uplecieni, aby nic z tego, co się dzieje wewnątrz nas, nie przedostało się na zewnątrz. Oczywiście było to nam w naszej sytuacji bardzo na rękę. Z drugiej jednak strony nie przypuszczałem, aby można było mieć twarz czystą jak grafitowa tabliczka, kiedy wewnątrz nas rysik zapisuje tak doniosłe rzeczy. To było dla mnie wielkie odkrycie. Na pewno większe niż to, że grzyby wyskakują spod ziemi dopiero wtedy, gdy ich kapelusze mają już lekko załamane rondo. Wprawdzie nadal byłem pewny tego wszystkiego, co się we mnie działo, ale już nie potrafiłbym tak dokładnie porozumiewać się z dziewczyną patrząc tylko na jej twarz i ręce. Mogła przecież myśleć zupełnie o czym innym, niż na to wskazywało pochylenie głowy, obrywanie korony rumianku, i uniesione kąciki ust. Dlatego tym bardziej pragnąłem, aby nasi rodzice odeszli jak najprędzej. Może to ich cień przesłaniał nas przed sobą. Może wtedy, kiedy oni odejdą, wszystko się pomiędzy nami rozpogodzi. Jednak przypominając sobie twarz matki, nie byłem tego pewny. Zdarzało się przecież, że matka śpiewając godzinki miała twarz wstępującej do nieba madonny, nie widzącej nic wokół siebie. Wystarczyło mi jednak sięgnąć po dodatkowy garnuszek mleka, aby się natychmiast stała ziemską matką dbającą o moje rodzeństwo. To samo zaobserwowałem u ojca, stryjka i rodzeństwa, nie mówiąc już o obcych ludziach. Nigdy tego natomiast nie spostrzegłem u zwierząt. Zachowywały się zawsze naturalnie, oczekując tego, czego od nas żądały i przynosząc to, co chciały nam przynieść. Może właśnie dlatego wołałem od tego momentu patrzeć na córkę sąsiada jak na małe zwierzątko. Siebie również wołałem widzieć nie w innej postaci. Stąd też niedawna podejrzliwość, że ojcowie widzą nas jako dwa małe zwierzątka łąszące się do siebie, wydała mi się tak naturalna. I już nie pragnąłem tak bardzo, aby od nas odeszli. Zacząłem się lękać tego ośmielenia, które może nas podejść, kiedy rodzice od nas odejdą. Chciałem nawet iść do ojca, aby go zatrzymać przy sobie jeszcze przez chwilę. Ale oni już wstawali spod wikliny.

Zostaliśmy sami. Nie wiedziałem, co mam robić ze sobą. Pozostać przy dziewczynie nie mogłem. Znaczyłoby to, że jestem z jednej strony podobny do zwierząt, a z drugiej strony do ludzi. Musiałem odejść, aby na uboczu odnaleźć siebie z tej chwili, kiedy ona zbliżała się do łąki. Bo nadal podobałem się sobie w tej na wpół dziecinnej postaci wychylającej za ledwie głowę spod ojcowskiej pazuchy. Ta nowa, objawiona mi nagle postać, w którą miałem wstąpić, była dla mnie zbyt tajemnicza, abym mógł bez oporu wejść w nią i nią rozporządzać. Poprosiłem jeszcze o dzban z wodą nie po to, aby ugasić pragnienie. Chciałem się, nie zwracając uwagi, jeszcze zastanowić. Piłem długo ptasimi łykami. Odjąłem dzban od ust, uśmiechnąłem się do dziewczyny i odszedłem rozbijać pokosy siana. Ona patrzyła na mnie nic nie rozumiejąc. A może rozumiała wszystko tak samo dobrze jak ja. Była przecież moją rówieśnicą. Może więc już od dawna była przygotowana na to wszystko,

co do mnie dopiero przychodziło. Jeśli tak, na pewno by jej nie przeszkadzała moja wewnętrzna chybotliwość. Wręcz przeciwnie. Powoli by ugłaskała we mnie moją dziecinną postać, znalazłaby jakiś przełaz do tej drugiej postaci, w którą powoli wchodziłem, a której nie byłem jeszcze pewny i mimo wewnętrznej ochoty bałem się w nią bez oporu wstąpić. Byłem jednak zadowolony, że potrafiłem odejść. Poza tym uściślała się we mnie pewność dorosłego człowieka, że jeśli ona już od dawna porusza się wśród dorosłych, znajdzie jakiś powód, aby podejść do mnie. Tak przecież, gdy byłem o coś zagniewany, podchodzili do mnie moi rodzice. Pod ich rękami stawałem się na powrót małym chłopcem radośnie rozjaśnionym. Ona jednak nie podchodziła. Było to coś nieoczekiwanego. Czyżby chciała, abym ja do niej podszedł? W takim razie jest równie niedorośła jak ja i oczekuje w sobie ugłaskania małej dziewczynki, której zabrano lalki. A może jednak jest dorosła. Wtedy byłoby tak, jak z moją matką. Czekaliby, póki z ojca nie ustąpi ten ktoś obcy i nie podejździe do niej ten pierwszy, znajomy, zgodliwy i rozumny. Nie mogłem sobie w żaden sposób ze sobą poradzić. Na wszelki więc wypadek uczyniłem tak, jak to czynią chłopcy uciekający przed słońcem skacząc do wody - zagrzebałem się w podeschnięte siano. Usnąłem natychmiast zmęczony sękatą kośbą i jeszcze bardziej sękatym rozmyślaniami. Śniły mi się zwierzęta tańczące wokół mnie. Wydawało mi się, że są tak radosne dlatego, że już nie kocham tak bardzo moich rodziców. Na pewno myślały, że przestanę je ciągnąć za uszy, i przywiązywać do ich ogonów gazety, karmić je ośródką chleba, w której zalepiałem szczyptę soli, ziarenko potłuczonego pieprzu i utarty liść bobkowy. Za zwierzętami w pewnej odległości widziałem moich rodziców przyzywających mnie do siebie. Chciałem do nich biec, ale zwierzęta coraz ciaśniej i coraz szybciej tańczyły wokół mnie. Wtedy rodzice upadli na kolana, podnosili ręce do nieba, odwracając się pełną cierpienia twarzą w moją stronę. Już wyłamywałem się spośród zwierząt, aby biec do nich, dowiedzieć się co im jest i czego ode mnie pragną, gdy mnie raptownie przebudzono. Nade mną z dzbanem w obydwu rękach stała córka sąsiada. - Chce ci się na pewno pić. Masz tu wodę. Upał okropny. Aż liście na wiklinie poskręcało w trąbki. - Usiadłem. Wziąłem z jej rąk dzban. Piłem powoli odchylony do tyłu. Wtedy ona podeszła do mnie, ukłękła, wzięła mnie za łokcie i swoją twarz przytuliła do mojej skroni. Odjąłem dzban od ust. Przed sobą miałem jej opalony kark. Wydawało mi się, że jest to kark ojca. Zdawało mi się, że jest to mój kark. Zacząłem ją całować po szyi i po twarzy. I byłem równocześnie moim ojcem i moją matką. Byłem dorosły.

[Spis treści](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)